list; str 336.

RĘKOPISM
MEGO KUZYNA WARJATA.

RĘKOPISM
MEGO KUZYNA WARJATA.

FANTAZIA

PRZEZ

Aleksandra Niewiarowskiego.

TOM I.

WARSZAWA.

W DRUKARNI JÓZEFA UNGER.

1853.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

W Warszawie d. 10 (22) grudnia 1851 r.

Cenzor,

Tugendhold.

JW. JÓZEFOWI

G L I N K A

NA PAMIĄTKĘ CHWIL SPĘDZONYCH

W GOŚCINNYM JEGO DOMU.

POŚWIĘCA,

AUTOR.

WSTĘP.

Mój kuzyn umarł — szkoda biedaka! — Umrzeć w dwudziestym szóstym roku życia, to przykro — prócz tego, mój kuzyn był ładnym chłopcem — powiadają nawet że miał dobrą głowę i znakomite zarody talentu do malarstwa. — W dwudziestym pierwszym roku już otrzymał patent magistra sztuk pięknych, później podróżował bardzo daleko — podobno był gdzieś aż w Indjach. — Co do mnie, wiem tylko, że wróciwszy do kraju prowadził szalony, werterowski romans z jakąś panienką — ożenił się, był zdradzony — że długo chorował, najprzód, z rany odniesionej później, dostał manji dziwa-

cznéj aż wreszcie zwarjował na dobre i przeżywszy lat dwa w klasztorze Bonifratrów, dnia wczorajszego umarł. Żal mi szczerze kuzyna Walerego! Odebrałem wezwanie od Xiędza Przeora i wybiéram się na pogrzeb; przeklęty deszcz... jakby z wiadra leje.... lecz uczynię to dla kuzyna Walerego i pojadę.

— No dobrze, że się to już raz skończyło, mój biédny kuzyn już pochowany — ale rzecz dziwna; że też pamiętał o mnie przed samym zgonem. — prawda! Ja sam tylko odwiédzałem go w ciągu smutnéj choroby jego umysłu — znał mnie dobrze i dla tego zapewnie otrzymałem po nim sukcesję!!!

Żeby mi nie żal było biédnego chłopca to rozśmiałbym się serdecznie; bo też to i zabawna rzecz spadek po warjacie — jest to tylko teka opieczętowana — wszakże zobaczymy! Lękam się znaleść cóś dziwnego: naprzykład, z kilkadziesiąt kóp much suszonych — bo to obłąkani miewają rozmaite figle w myśli.

— A to! — anim się spodziewał — wszakże to rękopism — istotnie rzecz ciekawa!

— Czytajmy! —

Człwiek jest taki, że jak zaczną w niego wmawiać że głupi, to w końcu uwierzy.

Jean Paul Richter.

Jak mi tu ciasno, duszno! w téj brudnéj celi... czarne mnichy, chcą ze mnie gwałtem zrobić pokutnika — a Bóg? Wszyscy mówią że wielki i dobry... a ja tak długo cierpiałem!.... tak, bo zawsze, wtedy jak byłem jeszcze świeckim człowiekiem... kiedy mnie ogrzewało słońce..., oh! słońca!.. jakże go dawno nie widziałem! — piękne słońce!... a tu... tu nie ma słońca!... mówiłem, że wtedy było mi zimno w piersiach, coraz zimniéj... a głowa pałała od ognia! tylko, jak byłem dzieckiem, to miałem ciepło w piersiach i głowa nie paliła mnie tak bardzo... bo, Matka, moja Matka! całowała mnie w czoło. O moja Matko! czemuż pojechałaś odemnie? Okrutne mnichy! i ciebie powieźli.... Na czarnym okręcie płynęłaś moja Matko a połysk krwawego światła

pochodni oślepił moje oczy, czy też łzy je zaćmiły i... nie mogę, nie mogę! dojrzeć teraz gdzie, dokąd uwieźli ciebie Matko moja! — Głową moja spalona na węgiel..... zimno w piersi a nie ma twoich ust kochanych by ostudziły mi czoło, a brak mi bicia serca twojego, co ogrzewało me piersi dziecinne!....

Dawniéj... lubiłem patrzéć w Niebo — tam, szukałem ciebie, Matko moja, i tych białych aniołów co mają suknie tkane we gwiazdy — a tęczami przepasują piersi... a liljami wonieją ich czoła! a teraz odebrali mi niebo... spojrzałem do góry..... i zczerniałe deski sufitu były mojém niebem! jakież to szyderstwo..... oh! co czynić? co czynić!

Dawniéj... pióro jak biała chorągiew chwały wiodło mnie do jakichś krain zaziemskich — strumienie blasków i morza woni, kołysały zmysły moje! — Cudneż to były rojenia!.... ileż to razy w świętych godzinach natchnienia śpiewała pierś moja hymny uroczyste! Jakże wysoko wznosiła się dusza moja! tron jéj krył się w niebiosach a fale obłoków białych, utkanych w promienie słońca niby we kwiaty złociste jak chmury kadzideł srebrnym pasem otaczały jego majestat ogromny!.... I gdzież zniknęło to czy-

ste natchnienie?.... O, wróćcie mi... wróćcie tylko pieśń moją natchnioną! a będzie mi ona tym rajem straconym, po którego lazurowych falach, umarłe bicia mojego serca i zapomniane pocałunki matki, jak białe łabędzie, powoli, smutnie pływają.

Tak mi straszno! i zgroza zimne krople wyciska mi na czole..... drzwi mojej celi *wiatr* otwiera! — kto jesteś, co wchodzisz do celi pokutnika? masz czarną szatę... a blade, okropnie blade są lica twoje..... precz czarny odemnie! boję się ciebie... ktoś ty?

Gość. Jestem... natchnienie!

Ja. Cha! cha! cha! natchnienie — i wchodzisz do mnie w szlafroku!! aksamitny czarny szlafrok... usta sine... i taki blady jesteś..... cha! cha! cha!... nie dotykaj mnie! zimne jak umarły masz ręce... boję się ciebie! —

Gość. Siadaj i pisz— ogrzeję twe piersi palącem wspomnieniem... pisz!.... i..... głowa moja... o Boże! moja głowa! nic nie rozumiem.....

Tu mój kuzyn Walery musiał dostać paroxyzmu szaleństwa — bo zostawił pół arkusza czystego papieru i naszkicował wybornie siebie

piszącego na krzesełku i natchnienie w szlafroku i pantoflach, z wielką powagą przysadzające mu dużą pchłę do serca:

(Tu fac simile).

Odtąd zapewnie poczyna się powieść dyktowana przez natchnienie w negliżu.

IDEA TRANSCENDENTALNA,

NA POCZĄTKU BYŁO... NIC

* * *

NA KOŃCU BĘDZIE... NIC.

Ogniste słońce Indji snopem brylantowych promieni trzęsło nad wybraną krainą, — olbrzymia wegetacja milcząc, uroczyście przeglądała się w niebieskich wodach jeziora, uśpione w zaroślach tygrysy Bengalu oczekiwały by wspaniałym chórem ryków ogłosić wschód nocy na Indyjskiem Niebie, — wiatr lekki, woniejący, poruszał fałdami purpurowego jedwabiu, co okrywał pyszny namiot rozpięty nad brzegiem jeziora.

W namiocie na bogatém, wschodniém wezgłowiu leżał niedbale człowiek, którego ciało okrywała muślinowa szata a twarz objęła zasłona z gazy.

Przy wezgłowiu na aksamitnéj, złotą frenzlą oszytéj poduszce — siedziała na sposób turecki cudnéj piękności kobieta!....

Strój jéj jak również i postać przywodziły na myśl ideały wschodnich odalisek: — bogaty z zielonego jedwabiu kaftan spadający do kolan przepasywała srebrna, brylantami świecąca szarfa, szerokie pantaljony z białego indyjskiego muślinu ozdobione srebrnym lampasem spływały na drobne alabastrowéj białości stopy, okryte w purpurowe pantofelki, przeszywane haftem złotych liści — Z pod białego jak śnieg turbanu oszytego perłami, woniejące strumienie czarnych, połyskujących włosów piętrzyły się w bujnych kędziorach na łabędziowéj szyi; — jedną ręką wspierała się na poduszce, w drugiéj trzymała wachlarz piór rajskiego ptaka. Czarne jéj oczy z niespokojnością śledziły za najmniejszym ruchem uśpionego — lecz w tych cudnych oczach nie było wyrazu czułości, coby je ożywił — przeciwnie, jakaś jakby gwałtem tajona wściekłość połyskiwała w jéj spójrzeniu i raz uśmiech nienawiści wykrzywiał koralowe usta, to znowu, gniew rozdymał różowe jéj nozdrza.

Śpiący poruszył się i wyrzekł chrapowatym głosem w języku powszechnie używanym na wschodzie,

„Zeljo! zdejm zasłonę z méj twarzy, i na-

kryj ją puklami twoich włosów... spiesz się!... chcę tak nieotwierając powiek, dokończyć zaczętego we śnie marzenia... tak... a teraz ognistym pocałunkiem sparz moje usta!.... Precz niewolnico! twoje usta zimne jak lody północy... kupione twoje pocałunki, studzą żar mych sennych urojeń... Precz, niewolnico!

Podniósł się i na wpół przechylony groźnem i wzgardliwém wejrzeniem patrzył na zgiętą w kornéj postawie odaliskę.

Człowiek ten mógł mieć lat czterdzieści — rysy jego twarzy nosiły na sobie piętno brzydoty i znikczemnienia — żółte okrągłe oczy jak u drapieżnego ptaka, miały szatański wyraz — nos orli mocno zagięty i w końcu przypłaszczony naturalnie, przypominał fizjonomję orjentalną — usta wielkie, z grubemi wywiniętemi wargami były przerażająco sine, a twarz żółtawo bladego koloru nosiła piętno jakiéjś martwéj chorowitości; wierzch głowy spiczasto zakończony, okrywały krótkie, gęste i mocno kędzierzawe włosy zupełnie czarnego koloru. Ręce długie i nadzwyczaj chude jak równie i cała budowa w połowie tylko okryta muślinową szatą dopełniały odrażającą powierzchowność

tego człowieka, co była, jakby umyślnie utworzonym kontrastem pięknej niewolnicy.

Ten człowiek nazywał się pan Fühl.

Chwilę jeszcze pozostał w tej postawie gniewnej i grożącej nagle, śmiech sarkastyczny, chrypliwy wydobył się z ust jego — przetarł oczy — ziewnął szeroko i rzekł:

Zadzwoń Zeljo! — dobrze — a teraz odejdź chcę mówić z Alfonsem — każę mu zdjąć głowę.

— Zelja z przestrachem spojrzała na Fühla.

— Straszliwa fizjonomja tego człowieka na widok trwogi odaliski przybrała ironiczny wyraz.

— No odejdź już — trwożliwa — serce twego kochanka żywe czy umarłe zawsze do ciebie powróci — odejdź!

Zelja podniosła zasłonę zakrywającą wejście do przyległego namiotu.

Zaledwie zasłona zapadła za postacią odaliski — zbliżył się do niej młody człowiek przyjemnej powierzchowności, ubrany wytwornie po francuzku.

— Zeljo! zapytał spiesznie, Zeljo, czy będziesz gotową dzisiaj?

Zelja położyła palec na ustach — chciała coś wyrzec, lecz niecierpliwy dźwięk dzwonka przerwał chwilową rozmowę — Zelja oddaliła się

w głąb namiotu a Alfons de * stanął przed wezgłowiem Fühla.

— Pan Hrabia mnie potrzebuje?

— A tak! ja hrabia za pieniądze, nudzę się okropnie i dla tego wzywam ciebie potomka szlacheckiej rodziny, niegdyś ozdobę salonów w St. Germaine abyś mnie rozerwał — płacę ci za to mój drogi — a ty... ty mnie haniebnie oszukujesz...

— Panie!

— Milcz mój drogi — staraj się przedewszystkiem zrozumieć moje chęci... zaraz..... Tu pan Fühl ziewnął znowu namyślił się przez chwilę i mówił dalej: kiedy przed rokiem przybyłem do Paryża, byłem okropnie znudzony — przebiegłem prawie całą kulę ziemską i wszędzie znalazłem ludzi jednakich; tylko zewnętrzną rassą kształtów różni, zresztą równie głupi, równie nikczemni wszędzie. — Otóż, ponieważ miewam rozmaite grymasy zachciało mi się mieć w usługach szlachcica — i ty mości margrabio czy baronie, potomku znakomitego Bretońskiego domu, za sto tysięcy franków rocznej pensji przyjąłeś u mnie obowiązki — przyznasz mój szlachetny panie że drogo opłacam poniżenie twej rodowej godności — ale wziąłem cię ze

względu że nudzę się okropnie, że zresztą ty przyrzekłeś mi wynajdywać ciągłe zajęcie się — napływ bezprzestannych wrażeń. Otóż, powiem ci mój drogi, że mimo tego ja jestem zawsze znudzonym a ty... głupcem...

— Panie!

— Tylko nie unoś się — lub postradasz twoją piękną posadę — cierpliwości mój drogi! lat kilka prędko upłynie — i wrócisz znowu na swoje salony z majątkiem — bo to wy nazywacie majątkiem. — Widzisz mój panie, na świecie trzeba mieć koniecznie jedno z dwojga: wiele pieniędzy, lub wiele cierpliwości... kto ma jedno i drugie to już zbytek — tak ja myślę kochany panie — a teraz powiedz mi dla czego zaprowadziłeś mnie do Indji gdzie obiecywałeś przesycić mnie roskoszą i... co mam czynić wreszcie aby nie umrzeć z nudów w tym pięknym kraju? Możesz usiąść.

Młody człowiek przygryzł usta do krwi — usiadł i zamyślił się głęboko.

— No! a mówże nakoniec — „*mów wiele, myśl mało*“ tak wykrzywiona zasada waszych bazgraczy, lepszą jest i prawdziwszą — kto myśli wiele ten lub nic nie myśli lub coś bardzo znakomitego — w pierwszym razie nazwą go wiel-

kim głupcem — w drugim — wielkim mędrcem! a wiesz przecie, że ostateczności graniczą ze sobą..... nakoniec, dla jednego i drugiego jednaka zapłata: rozgłos, sława! lub jak chcesz to nazwij — no! ale słucham!

— Panie hrabio, pan jesteś szczególnym człowiekiem — jakiego nie widziałem nigdy.....

— Eh! mój kochany — któż się pyta ciebie jakim człowiekiem jestem — być może, że nie widziałeś podobnego, to jest mówiąc prosto, nie widziałeś nikogo co by miał tak wiele pieniędzy — lecz nie o to idzie — powiedz raczéj co ma czynić taki człowiek aby przecież mógł *żyć* na świecie?

— Przebacz pan — lecz ja wynajduję mu przedmioty jakie w mojém i w ogólném rozumieniu powinny uprzyjemnić życie każdemu.

— I jakież to przedmioty?

— Właściwe — ale... powiem to panu inaczéj — przyznasz że głównym, panującym pierwiastkiem w człowieku jest: *chęć* — *żądza* — *nadzieja*, które nazwę *ciekawością*, jeśli się panu podoba.....

— Podoba mi się mój drogi — cóż daléj?

— Otóż ciekawość ta jest dwojaką: *umysłowa* i *zmysłowa*; jeżeli człowiek ma ciekawą

duszę, szuka środków do nasycenia jej w dziedzinie nauk, sztuk... wreszcie, stara się z każdéj rzeczy spotkanéj w życiu wydobyć jéj stronę idealną, to jest.....

— Rozumiem, to jakby ziarno z łupiny — lecz mój panie, twój ciekawy umysł znajdzie się w śmiesznem położeniu, jeżeli z łupiny dobędzie zepsute ziarno... a to zdarza się... przyznasz?

— No! w takim razie powinien rzucić owoc zepsuty i szukać innych.

— Wybornie! a jeżeli w dwudziestu łupinach z kolei znajdzie zepsute ziarna?

— To rzadki wypadek!

— Ale praktyczny.

— Tak, lecz i w tym przypadku powinien cierpliwie szukać daléj.....

— Ba, cierpliwie! otoż widzisz mój drogi całe twoje rozumowanie redukuje się do mego zdania że na świecie potrzeba mieć: lub wiele pieniędzy lub wiele cierpliwości... ja mam pieniądze — idź do diabła z twoją cierpliwością!

— Bardzo dobrze — więc pan jesteś ciekawym zmysłowo?

— Ba!

— Więc szukaj pan środków zaspokojenia zmysłów.

— Rozumiem — mam wyrzucać ziarna a jeść łupiny — dziękuję!

— Ależ, dla pana ta łupina będzie ziarnem jak znowu ziarno negacją anti-exystencją!

— Aha! jesteś djalektykiem — mój drogi, czy chodziłeś na Uniwersytet?

— Tak panie...

— I słuchałeś zapewnie kursów filozofji?

— Ale... tak...

— No mój drogi, odbieram ci twoją pensję i oddalam ze służby.

— Lecz powód?

— Wiesz przecie, że jesteś moim antreprenerem roskoszy a ty nie możesz wiedzieć nawet co jest roskosz, gdyż aby coś *rozumieć* trzeba *znać* — żeby *doznać* trzeba *zużyć* — doznać zaś może tylko ten kto nie rozumuje lecz używa — O! niech przepadnie ta przeklęta refleksja! Czy wiesz mój panie jak wygląda człowiek co każdą zamierzoną czynność oddaje pod rozwagę swéj refleksji? — oto zupełnie jak student co zerwawszy smaczny lecz nieznany sobie owoc oddaje go nauczycielowi który wytłumaczywszy mu wszystkie własności owocu — *opowiedziawszy* smak jego, sam go wreszcie zjada! — daj pokój kochany panie! mnie potrzeba człowieka świe-

żego serca, młodość twoja uwiodła mnie, obadwa jesteśmy na jednej stopie usposobienia — ja lubię kontrasty! — Nakoniec, nie wiem na co mi zdać się możesz — bo czego ja chcę tego ani ty, ani nikt w świecie dać mi nie może — ja chcę... będzie to śmieszne... ja chcę... ja chcę być kochanym! kochanym od kobiety któraby była uposażona we wszystkie przymioty duszy i ciała o ile te exystują.

— Ależ to rzecz najłatwiejsza panie hrabio, pan — mój Boże! z twoim rozumem, z twoim majątkiem ogromnym!

— Jesteś głupcem! czy nie widzisz że jestem brzydki i to okropnie, rażąco! i ta szpetność moja jest przyczyną niezwalczoną, która odpycha odemnie nadzieję upragnioną na zawsze! *na zawsze*, rozumiesz! O, ja wiem że jeżeli zapłacę bardzo drogo, to będę miał niewolnicę która moje pocałunki przyjmie ze wstrętem i obrzydzeniem, lecz utai to w sobie... bo chce zyskać! ale ja nie chcę tych kłamanych uczuć, to gorsze jak brak zupełny — ja chcę, aby kochano mnie bez przymusu, bez widoków korzyści — powiedziałem, że chcę być kochanym od kobiety, uposażonej we wszystkie przymioty duszy i ciała — teraz słuchaj co powiem: niech

to będzie istota zaledwie przystojna — niech będzie bez cnoty i bez charakteru — łachmanami okryta! lecz niech wiem, niech wiem że *mnie* kocha! bo to okropnie tak nie być nigdy i od nikogo kochanym! oh! daj mi kochankę któraby drżała z roskoszy przyciskając usta do moich — której serce biłoby przy mojém! oh! daj mi ją, przez chwilę jedną, przez jedną chwilę! a rzucę ci pod nogi miljony!

Pan Fühl mówiąc to drżał od wzruszenia — oczy jego błyszczały jak rozpalone żelazo, żyły nabiegały krwią a wargi okryła piana — ten człowiek w téj chwili stanowił tak rażącą sprzeczność z uczuciem jakie malował, że niepodobna było przypuścić nawet żeby jego pragnienia ziścić się mogły.

— Panie hrabio! zawołał nagle Alfons zrywając się z krzesła — jedziemy do Europy!

— Po co?

— Chwilka jeszcze — jaką summę ofiarujesz mi pan jeżeli zdołam urzeczywistnić chęci twoje?

Tyle było pewności w postaci, spojrzeniu i głosie młodzieńca, że pan Fühl mimowoli zadrżał i po chwili wzruszonym rzekł głosem:

Jaką sam naznaczysz.

— Dobrze! dasz mi pan trzy miljony fran-

ków, a kobieta którą pan uznasz za najpiękniejszą w świecie — ta kobieta będzie kochać cię prawdziwie — obdarzy cię najtkliwszemi pieszczotami — odda ci się bez granic! lecz tylko *przez jedną godzinę*. Przysięgam że dopełnię mego przyrzeczenia!

— Jakim sposobem? szalony!

— To moja tajemnica — a teraz powtarzam, jedziemy do Europy?

— Dobrze! lecz słuchaj — ja chcę ażeby to nie była jedna z tych kobiet *lwic* waszych, bo takie miewają czasem oryginalne chęci nakoniec, przez zręczność nadzwyczajną mogłaby mnie złudzić — uważajże! chcę aby ta kobiéta była młodą, z miernego stanu lecz ukształcona, nadewszystko! żeby miała uzasadnioną opinię pobożności, moralności i tych wszystkich jak je nazywacie cnót domowych — taką dasz mi? cóż mój drogi... czy jeszcze powiesz, jedźmy do Europy?

I pan Fühl szydersko się rozśmiał.

— Taką kobiétę oddam panu — więcéj nawet! pan będziesz przekonany — pojmujesz mnie? *będziesz przekonany* że jéj miłość jest prawdziwą — jéj pieszczoty szczere.

— A więc! jedźmy do Europy.

— Kiedyż?

— Jutro! teraz ja naglić cię będę — a dziś zakończę z Zelją, dodał do siebie z ponurą wściekłością Fühl — zamyślił się — wzdrygnął i rzekł szybko jakby pragnąc odegnać natrętne wspomnienia:

Lecz do któregoż kraju jedziemy?

— Zaraz, pomyślę!....

— Pomyśl dobrze — obierz kraj obfity w ładne a nadewszystko w cnotliwe domowo kobiety.

— Brawo! już mam! czy pan hrabia zna język polski?

— Dosyć dobrze.

— Byłeś pan w tym kraju?

— Kilka razy — nudny kraj!

— Cóż czynić?

— Więc do Polski.

— Tak.

— Brawo!

W tém miejscu, kuzyn Walery odrysował dwie figurki jadące na kijach jak to czynią dzieci naśladując wierzchową jazdę — ma to być zapewnie podróż dwóch hrabiów do Europy — Dalej jest kilka wierszy kropek.

— Kiedyż?

— Jutro! teraz ja naglić cię będę — a dziś zakończę z Zofją, dodał do siebie z ponurą wściekłością. Potem — zamyślił się — wzdrygnął i rzekł szybko jakby pragnąc odegnać natrętne wspomnienia:

Lecz do któregoż kraju jedziemy?

— Zaraz, pomyślę!....

— Pomyśl dobrze — obierz kraj obfity w ładne a nadewszystko w cnotliwe domowo kobiety.

— Brawo! już mam! czy pan hrabia zna język polski?

— Dosyć dobrze.

— Byłeś pan w tym kraju?

— Kilka razy — piękny kraj!

— Cóż czynię?

— Więc do Polski?

— Tak.

— Brawo!

W tem miejscu, kuzyn Walery odrysował dwie figurki jadące na kijach jak to czynią dzieci naśladując wierzchową jazdę — ma to być zapewnie podróż dwóch hrabiów do Europy — Dalej jest kilka wierszy kropek.

Wielkie serca są jak ule zbyt wielkie miód ich zapełnić nie może, stają się gniazdem jaszczurek.

.......Gdzież jesteś mój raju ziemski? gwiazdo pamięci! po srebrnych twoich promieniach zawiedź mnie do serca mojego Arkadji!... Widzę ją! to nie pyszny gmach marmurowy otoczony cytrynowym gajem — ani cyprysów postacie jak smutne grobu strażniki, nie ocieniają alabastrowych jéj kolumn — to domek mały, wybielony, wesoły; — Na złocistém poszyciu świeżéj słomy, sąsiednie wierzby rysują szmaragdowe swe liście i ogród nie wielki rozciąga się po jednéj stronie — w środku niego, olbrzymia jodła podnosi w niebo kolczaste ramiona — dziedziniec mały — a u wrót stoi topol — a na topoli gniazdo bocianie... a na gniaździe, biały

zwiastun wiosny zasypia oparty na jednéj nodze.— Sinéj mgły tumany opadają zwolna na szerokie, kępiaste bagno w którém żaby, chruściele i bąki śpiewają uroczyście posępny chór wieczoru; a środkiem bagna idącą groblę osłaniają dwa rzędy brzóz płaczących — a śród tego szpaleru, dziewczyna w czarnéj szacie jak anioł zmroku cicho przepływa i milczące koło ciemnego boru, żałobnym pasem, ocienia ramy obrazu Arkadji mojego serca!....

......Gdzież jesteś, smutny, cichy aniele wieczoru?— Widzę ciebie! Niebieska wstążka przepasuje białą, przejrzystą szatę twoję — równianka z niezapominek i leśnych goździków wonieje u twych piersi!.... ona blednie przy błękicie twych oczu, przy purpurze ust twoich!.... Witam cię! biała liljo mojéj Arkadji ogrodów! Witam cię! woniejąca różo Saronu! Czoło twoje schyliłaś wpół smutno, wpół rzewnie — a oczy twoje topnieją w ognistém miłości spojrzeniu a dłoń twa miękka, roskosznie drży w młodzieńczéj dłoni ujęciu. — Promienie zachodzącego słońca w złociste blaski stroją jasnowłosą głowę wybranego twéj duszy kochanka — a on, choć twoje oczy ślą mu do serca, nieokreślone wyrazy szczerego czucia wysokiéj duszy i choć

dłoń twoja uściśniona w jego dłoni spoczywa— choć z dumą szczęścia poziera na czystą postać twoję! przecież, chmura smutku ocienia mu wybladłe czoło — uśmiech goryczy wykrzywia usta a łza nie wstydzi się płynąć po męzkiém jego obliczu.

Witam was! Jak dwa czyste anioły przepływacie w méj pamieci, owiani we mgły wieczorne.—I widzę was przy domku wybielonym a białowłosy starzec z szanownėm patryarchy obliczem, z uśmiechem czułéj dobroci wita was na jego niskim progu.

---

ilka twoja mieszkańców w jego dłoni oparta, a choć z chmury ciężkie padają na czystą pościel twoją, gasnąc, chmura wnet ciemna mu wybladła duszo — gdy ich gorący słoneczny lata ten nie wysyła się płyną po zwykłym jego obliczu.

Wiem, wiem! Już dwa czyste domy przeżyły wasze w mej pamięci, owiane we mgły wiosenne. — I widzę wam stojący domek wybielony u białowłosy starzec z zadumanem patryarchy obliczem, z uśmiechem czułej dobroci wita was na jego niskim progu.

Tak się ma skutek do przyczyny,
Jak przyczyna do skutku.

Bzdurstwa gramatyczne.

— Co tam słychać?

— Nic nowego.

— Przecież, panno Dezyderjo!

— Chyba, że starego majora już pochowali.

— Et!

— Jak mamę kocham, tak prawda!

— Panie Albinie dobrodzieju!

— A co łaskawco?

— Panna Dezyderja mówi, że starego majora już pochowali.

— Albo umarł?

— Jeszcze onegdaj!

— Także..... no proszę! hm... staruszek..... czas mu już było.

— A jakże córka?

— Marja?

— No, jużeć przecie drugiéj nie miał.

— Hm! śliczne to i młode... ale... nie pokaźne pannisko.

— Panie Albinie, ej panie Albinie! Bałamut z pana — mówią, że umyślnie sprawiłeś sobie zielony kostium myśliwski na jarmarku w Międzyrzeczu aby przechadzać się po lasku otaczającym dworek nieboszczyka majora, ej panie Albinie!

— Nadewszystko, że te ewolucje, mości dobrodzieju! nie były bez poświęcenia, bo słyszałem że gąsięta majora znęcone zielonością pańskich pantaljonów nie jednokrotnie a srodze łydki panu poszczypały... cha! cha! cha!

— Cha, cha! cha! jaki ten pan Krystyn dowcipny! już doprawdy tak się zawsze uśmiejem — panno Dezyderjo dobrodziejko! niechże nas pani nie opuszcza; i mama i papa pani grają w wista ze starym podsędkiem, to jakby w cztery dziadki.

— Znów dowcip! cha! cha! cha! Ależ uważaj pan... panna Dezyderja obraziła się, że pan Dobrodziej w jéj obecności o łydkach nadmieniłeś a ona w dobrych zasadach chowana!

— Ba!

(Panna Dezyderja wracając):

— Ale, ale, zapomniałam powiedzieć państwu że córka nieboszczyka, Marja, idzie za mąż.

— Jakto, mimo żałoby!

— Za kogóż u licha?

— Za pana Walerego.

— Ależ to kuzyn!

— Bardzo daleki — co to szkodzi! kochali się oddawna.

— Czy on bogaty?

— Podobno nie — ale maluje bardzo ładnie i mówią, że mu za to w Warszawie dobrze płacą.

— Także! niepewne to rzeczy — ale jak to mówią lepszy rydz jak nic, mości dobrodzieju! — tylkoż nie wiem jak to panna majorówna rozstanie się ze swoim białym domkiem i groblą wysadzoną w płaczące brzeziny, bo taka podobno romansowa!

— Eh, ba! tak się mówi, piękne brzozy, dobra i grobla ale co mąż! to mąż! powzdycha tak sobie: „aby aby“ i poleci z malarzem do Warszawy.

— Podobno ma mieszkać przy ciotce w Warszawie dopóki żałoba nie upłynie?

— To pewnie folwarczek wydzierżawi?

— I co tam wydzierżawiać — to nic nie warta kolonijka! — póki żył major — to, mości do-

brodzieju, emerytura, prócz tego, brał pensją aż z Francji za jakiś tam patent legji — ale teraz... córka przy zamążpójściu traci prawo do emerytury.

— Panno Dezyderjo!

— Cóż?

— Poszłabyś panna za malarza?

— Także! Ja nie lubię malarzy — to jak u papy jeden malował koczo-bryk to tylko *fetoru* okropnego narobił terpentyną — a te farby to tak czuć nieznośnie!... Zresztą, panna majorówna uboga to trudno i wybierać.

— Ależ panno Dezyderjo, pan Walery pewnie koczo-bryków w Warszawie nie maluje.

— A cóż?

— Obrazy!

— Jak to?

— No, portrety.

— Jak mamę serdecznie kocham nie wiedziałam o tém!

— Nic nie szkodzi!

— Aj! aj!

— Przebóg! cóż to?

— Tak, cóż to? udeptałeś mnie pan w nagniotek!

— Stokrotnie przepraszam pannę Dezyderję! pani cierpi na odciski.

— I bardzo!

— Trzeba powyrzynać brzytwą!

— Papa nie chce dać brzytew, powiada że się psują.

— Przyszlę pani moje — doskonałe!

— Stokrotnie dziękuję!

— Za mało, pani dobrodziejko! za mało!

(Po upływie roku).

—„Wiem że ty temu wszystkiemu nieuwierzysz, że i to nazwiesz tylko moją ironią; choćby i tak było cóż robić? dosyć się już męczyłem kosztem własnym, muszę się też pobawić kosztem ludzi — ale nie bój się! sumienie na tem nie cierpi; jestem ja jednym z tych widzów co wychodzac z teatru zapominają i o tych co grali rolę błaznów, i o tych którzy udawali bohaterów.

M. C.

W jednym z domów położonych przy ulicy Nowo-senatorskiéj na drugiém piętrze jest mieszkanie *kawalerskie*, to jest, może je zająć i żonaty, lecz tak było nazwane na karcie, którą właściciel na bramie swego domu przylepił.

Mieszkanie to składa się z małego przedpokoiku z kominkiem zasłoniętym na teraz czarną ceratą, z saloniku dość obszernego gdzie spotkasz mnóstwo obrazów, kartonów, szkiców etc. i trzy sztalugi z naciągniętemi płótnami — na każdém zaczęta robota — na żadném nie skończona — farby, paletry, pendzle, rozrzucone leżą na podłodze lub stole — stosy książek — fajki — dwa floresty — kilka krzeseł, duży fotel, kanapa i ogromna orzechowa szafa dokończają umeblowania tego salonu, który no-

si na sobie cechę pracowni malarza; — drzwi przeciwległe tym, co otwierają przedpokój, prowadzą do niewielkiego w kwadrat zbudowanego pokoju — to sypialnia malarza. — Łóżko za firankami, przy niém, na małym stoliczku kilka książek — świeca stearynowa — kilka cygar — kilka krzeseł i oto wszystko! — Podłogę pokrywa duży dywan którego jeden koniec ginie pod łóżkiem, drugi przywiera do komody, na któréj umieszczona tualeta mahoniowa z ruchomém na sztalugach osadzoném zwierciadłem,

Przed tualetą, siedzi młody malarz, Walery. — Piękne, jasne jego włosy zwinięte są starannie w najmodniejsze loczki — pantaliony granatowe, świeża, modnym krojem szyta batystowa koszula i lakierowane buciki, składają dotychczas cały strój młodzieńca — obecnie, wziął do rąk białą, jedwabną krawatkę i obejrzał się na krzesło gdzie nowiutki frak granatowy ze złoconemi guzikami i haftowana kamizelka z białego kazimiru oczekiwały uzupełnienia ślubnego stroju.

Walery zawiązując krawatkę, niekiedy niespokojnie przysłuchiwał się odgłosom stąpań niknących śród korytarza — widocznie oczekiwał kogoś i to niecierpliwie.

„Mój Boże, jakże to nudne! od dwóch go-

dzin mam do czynienia tylko z krawcem i szewcem, a teraz sam się dręczę znowu — a jeszcze i ten Władysław nie przychodzi, jakby umyślnie! O, on gotów to zrobić! no, masz tobie! Znowu pogiąłem kołnierzyk... to wreszcie może zniecierpliwić... o, Marjo! Marjo! jakąż to ofiarę z mojego życia czynię dla ciebie... bo ja przeczuwam że talent mój, który ubóstwiam sam w sobie, będzie wystawiony na ciężkie próby śród miękkiego, domowego życia jakie mnie oczekuje na twojem łonie... Ha! będzie to los Annibala w Kapui! nakoniec stało się! zresztą kocham! a to słowo w ustach artysty *znaczy*!.. Ach! ten Władysław... słyszę łoskot na wschodach... to on!.. nie... i jeszcze nie! jakże ten frak dziwnie mi leży... W sam dzień ślubu będę zgniewany na dobre.

Monolog ten przerwało przybycie młodego człowieka, także blondyna — lecz między rysami i wyrazem twarzy gospodarza i gościa była różnica zupełna, bo Walery miał oczy niebieskie i brwi tegoż co włosy koloru, gdy tymczasem w twarzy Władysława, przy jasnych włosach szczególnie odznaczały się szare oczy, i brwi ciemne mocno narysowane.

— Ach, nakoniec jesteś — już sądziłem że

jeden ze zwykłych wybryków twojej obfitej fantazji — pozbawi mnie tak koniecznej na dziś twojej obecności.

— O, wcale nie, wcale nie, mój dobry! Jestem zawsze na usługi moich dobrych znajomych — wiesz przecie, stało się już zasadą że Władzio jest zawsze grzeczny! tylko po drodze spotkałem się z Teofilem — poczciwy Teofil! Wiesz przecie, że ten nikomu nie daruje... otóż, musiałem wejść z nim w sień jakąś i tam wytrzymać pół godziny deklamacji — rychtyk pół godziny — patrzyłem na zegarku nieboszczyka mego ojca, pułkownika od ułanów! Co mi prawił, na honor nie wiem! podobno nawet wcale nie złe rzeczy... ale słuchać w sieni... przyznasz to trudzi... nakoniec, pochwaliłem, z powagą! i prosto do ciebie..... tylko jeszcze zawsze po drodze wstąpiłem do Stasia na fajeczkę przyjacielskiego *Wirginien*... ale... któż u licha tak zawięzuje chustkę... nie wiąże się teraz tak starannie ot tak!... czekajże... poprawię ci... o, patrz! *simple*! i rzecz skończona — frak twój, aniele, nie tęgo leży, no, ale to już trudno... jednakże czemu? O patrz tylko mój? hę?

— Mniejsza o to! Czy przyjechałeś?

— Nie! Przyszedłem... czemu?

— Bo zatrzymałbym dorożkę — potrzebuję... a ten bałwan, mój Ignacy, jak pójdzie po co, to jakby przepadł... a już i czas nadchodzi...

— To, jedziemy prosto do kościoła?

— Tak.

— Więc o cóż idzie? — idźmy pieszo, po drodze weźmiemy powóz.

— Eh! gdzież u licha będę szedł przez ulicę tak wyświeżony! Ten ślubny kostium nudzi mnie!

— Oho! to jegomość w dzień tak obiecujący *żenuje się* ślubnego stroju... oj dobrodzieju! to nie osobliwa wróżba...

— I, nie dla tego... ale wiesz co Władysławie?

— No!

— Jeśli mam wyznać ci prawdę, to... doznaję jakiegoś dziwnego wrażenia... ten związek tak zresztą przyjemny, zastrasza mnie swoją powagą! Lękam się o moję swobodę życia... cóż chcesz? jestem artystą! a przyznasz... żona... dzieci... i to życie ciche, domowe, mdłe! oh, ja lękam się czy to wszytko nie wpłynie szkodliwie na mój talent... boję się zgnuśnienia! zresztą! rozumiesz mnie, ty co tak znakomicie opisujesz tajemnice serca ludzkiego... ty, mości literacie!

— Przyznam, że nie zupełnie — albo też, że nieznam ciebie tak jak sądziłem... Widzisz aniele, nie trzeba uolbrzymiać drobnych rzeczy — nie dla tego to mówię bym uważał małżeństwo za fakt małoważny... owszem! Jest to jedno z tych ogniw, co spajają wielki łańcuch życia i społeczeństwa, ale cóż jest celem małżeństwa? Niechaj co chcą deklamują platoniści... zawsze powiem że idzie tu głównie o propagandę rozradzania się fizycznego więc o tworzenie — prawda, tworzenie jest apoteozą! ale jeśli ono jest użyteczne w materji, to stokroć wyższe, piękniejsze w duchu. — Artysta tworzy dzieło ducha! jemu sztuka jest najpierwszą małżonką, to zresztą jego wszystko, jego żywioł życia! Nakoniec mów co chcesz, ale ja nie mam za złe artyście, jeśli zaniedba żonę, dzieci... jeśliby to potrzebném było *koniecznie* dla dobra sztuki.

— To dobrze, mój drogi — wiesz przecie, że i ja tak sądzę... lecz ja kocham Marję! Ale to kocham z całej mocy duszy!.... Śmiejesz się?..... daj pokój! Wiesz przecie, że nigdzie nie znajdziesz tyle dziwacznych sprzeczności jak w sercu człowieka — znasz mnie przecież — wiesz, że pojęcia nasze harmonizują ze sobą... a jednak,

powiem ci, że ta kobieta wywiera ogromny wpływ na moję wolę — ta jej dobroć i niewinność anielska — ta czystość i razem wzniosłość duszy — nakoniec, piękność ciała... wszystko to uczyniło mnie do tego stopnia głupcem, że przysięgam ci, nie wiem czyli nie będę przepędzał czasu u nóg jej — patrząc w jej oczy — lub wspólnie z nią śledząc cudowne gwiazd obroty, gotów jestem płakać, patrząc najpurystyczniej w bladą twarz księżyca.

— Cha! cha, cha! Prawda, że to oryginalny obraz — i... chciałbym ukryty gdzie w bliskości widzieć cię w tej kornej i tkliwej razem pozycji, ale, mój aniele! to są fraszki! pół roku upłynie a ostygną te wszystkie entuzjazmy..... nie przeczę... są chwile w życiu młodości gdzie serce prostą namiętność nawet, żądzę wprost zmysłową, własnym szałem w ubóstwienie przeradza, ale serce—to brudny kuglarz dobrodzieju! W jednej chwili rozsypie ci przed oczy cały ogrom świetności i poezji uczucia — zaleje cię deszczem kwiatów i brylantów a ubrawszy skronie zwyczajnej dziewczyny w wieńce z róż i woniejących lilij, otoczywszy jej czoło aureolą czystości każe ci być aniołem, czcicielem tego Bóstwa..... Chwila! jedna chwila! a ujrzysz

kwiaty zwiędłe, brylanty fałszywe — a owe Bóstwo uczczone wygląda jak liche malowidło któremu chwilową wartość, nadały kapryśne promienie światła — rozumiesz mnie przecie, panie malarzu!.. Werniks się zetrze, werniks, dobrodzieju! i kwita!

— Uprzedzasz się, mój Władysławie — nie można tak znowu ze wszystkich uczuć serca tworzyć strony ujemnéj — bo wtedy rozumowanie przerodzi się w sarkazm tylko; rodzaj uczuć i trwałość ich zależy od rodzaju przedmiotu, który je wznieca, a te znowu przedmioty przyznasz, bywają wyjątkowéj doskonałości.

— Aha! Więc ty trafiłeś na wyjątek — tak mówią wszyscy zakochani — nakoniec cóż ci mam powiedzieć mój drogi? Możesz sądzić, że powoduje mną jakaś stronność... chociaż jak mamę kocham, jak szanuję pamięć pułkownika mego ojca nie jestem pod wpływem zazdrosnych uczuć względem twojéj przyszłéj, nie dla tego bym sądził ją być niezdolną wzbudzić współczucie w mojem młodém i świeżutkiém sercu... ale... ale... że ja... ja... Władzio, mój dobrodzieju! aby się *zakochać*, notabene jak ja to uczucie rozumiem, potrzebuję Ideału! i taki znajduję tylko w sztuce — w bytność zaś jego w ciele kobiety, zupełnie a zupełnie nie wierzę!

— Wiesz co, mój Władziu że słucham cię i dziwię się tobie.

— Czemuż?

— Bo, ale nie gniewaj się... bo jesteś wybornym aktorem.

— Jakto?

— Tak, bo ty co tak srogo powstajesz na uczucie, co tak stale zaprzeczasz istnienia miłości... ty wreszcie... przysięgnę! kochasz Emilję.

Rumieniec wystąpił na bladą twarz Władysława, ale nie ten zwyczajny rumieniec pomieszania... lecz. raczéj zdawało się jakby wzniecilo go jakieś nagłe odkrycie, jakieś wrażenie w téj chwili tworzące się i prócz tego, jakaś przekora gniewliwa. Po chwili jednak usiłował parsknąć wymuszonym śmiechem i zapytał jakimś nienaturalnym głosem:

— Ja, ja? w Emilii zakochany?

— I to nie wszystko jeszcze... ona także mimo swych teoryj przeciwnych zamęściu, mimo całéj wpół męzkości, która tak dziwacznie cieniuje jéj charakter, ona także, mój nieczuły Władysławie, kocha cię do szaleństwa.

— Eh, bajesz mój łaskawco, zły z ciebie postrzegacz i lichy fizjonomista — gdzieżeś u djabła dopatrzył się tego uczucia?

— Oh, mój drogi, wiedziałem dobrze, że będziesz zaprzeczał lecz ja obstaję przy swojem i... zobaczymy!

— Nie, wierz mi Walery, nie, rzekł zwolna Władysław. — Po chwili znowu jakby ulegając nowym, tworzącym się wrażeniom, mówił w pół żartobliwym, w pół smutnym głosem: prawda, że gdybym kiedykolwiek uległ pod wrażeniem uczucia, namiętnosci... lub jak chcesz nazwij to wreszcie to kobieta w rodzaju Emilji, przed innemi zostałaby królową moich zapałów, bo jeśli nie zupełnie kłamią badacze serc ludzkich... to wspólność wyobrażeń, podobieństwo charakterów, najbardziej mogą zjednoczyć serca... lecz im dłużej żyję, im więcej przechodzę rozmaitych wydarzeń, co jak kałuże błota stoją na drodzę życia... tem więcej przekonywam się, że człowiek co ma przeczucie Bóstwa w duszy, co ciężką i krwawą pracą umysłową dobija się poznania prawdy, zarówno w dziejach natury jak w źdźble trawy ukrytej; nakoniec człowiek, co czynami chce usprawiedliwić dumną żądzę przewodniczenia ludziom na tajemniczej drodze myśli.., taki człowiek — powinien wydrzeć z serca własnego wszystkie osobiste zapragnienia, powinien ciało swoje i jego namiętności w proch

zetrzeć! i dopiero owładnąwszy zmysłami swojemi może spodziewać się postępu na drodze duchowéj.

— A cóż mi świat da, czém mi wynagrodzi te wszystkie poświęcenia? — Czyż dla tego że mam umysł wznioślejszy i serce szlachetniejsze nam przewodniczyć, ludziom na drodze umysłu? przewodniczyć! mój Boże, cóż za tryumf!.... Wszakże idąc tą drogą przewodnią pierwszy kaleczę się wyrosłemi na niéj cierniami i ostrzegam postępujących za mną; lecz dla czegoż to *ja* mam być zraniony za innych? czyliż ci inni lepsi odemnie, lub czylim ja tak zły i nikczemny bym służył za probierczą machinkę w ich życiu — i cóż mi stąd?... jaki cel, jaka nagroda? na ziemi — niewdzięczność i obojętność, za grobem, zapomnienie i niepewność, oto wszystko?

— Ha! mój drogi widzę że ten ubior ślubny odjął ci władzę zdrowego sądu! Na honor! nie poznaję ciebie Walery... i to ty mówisz o nagrodzie? Czyż serce artysty — nie przeczuwa że każda interesowność jest niską i niegodną jego... a cel jaki?... tylko ociemniałe oczy nie dojrzą promienistego celu życia artysty, jeżeli oślepłeś na chwilę to ja ci przypomnę cel istnienia naszego — Powiedz co rządzi olbrzy-

mim obrotem natury? co nadaje byt i kształt każdéj rzeczy istniejącéj?... *potęga — siła* wszak prawda? i taż sama siła tylko względnie użyta, kieruje sprawami pojedynczego człowieka, wreszcie wszytskiem co *jest*; — W świecie ducha i w świecie ciała wszystko istnieje przez siłę; ludzie czczą potęgę cnoty — lękają się potęgi złego, szanują potęgę wiedzy — i dla tego każdy człowiek o ile zdolności jego dozwalają starać się powinien o zyskanie téj potęgi moralnéj — a jakżeż ten może być potężnym w działaniu swojem kto podlega własnemu organizmowi — Naprzód, trzeba ujarzmić siebie samego to jest: umysł człowieka powinien być wszechwładnym panem całéj reszty jego istoty a wtedy dopiero można działać i działanie to będzie dobre i prawe.

— Alež na miłość Boską! powiedz mi szanowny propagatorze zasad, powiedz mi, na co to wszystko przyda się wreszcie każdemu z osobna? bo mnie idzie oto dla czego ja, pojmujesz? *Ja* mam ginąć w massie kiedy *Ja*, przypuśćmy, wart jestem więcej niż piąta, czwarta, lub trzecia część téj massy — a wreszcie, ten Ja który poświęcam się, pracuję przez całe życie, umieram i niknę w ziemi jak mizerna pasza dla niéj!

bo któż mi zaręczy czy po śmierci ciała oddzieli się od niego jakaś tam substancja subtelniejsza co ma w nieśmiertelność przeżyć.

— Eh, bajesz mój aniele! dajesz mi pytania jak student — najprzód wiedz o tém, mój dobrodzieju, że na świecie nic nie niknie — pokaż mi jedno źdźiebełko, jeden proszek któryby znikł zupełnie — przemieni formy jedne na drugie ale zawsze jest — dlaczegożby duch człowieka lub wreszcie ta myśl, wzniosła, to czucie ale bezcielesne, wyższe, które przecież także *są* choć ich palcem namacać nie można, dla czegożby one niknąć miały — czyż dla tego że szlachetniejsze i wyższe od proszku i źdźbła? cóż chcesz u licha? gdybyś mnie prosiła bym ci dowiódł że mój frak zapina, się to zapiąłbym go w twojej obecności, ale niepodobna byłoby mi zapiąć go myślą lub rozumowaniem — widzisz do każdego przedmiotu należy używać środków właściwych; i dla tego, jak dotykalnie nie podobna dowieść rzeczy niedotykalnych, tak również ciemny tylko może robić zarzuty fizyczne w przedmiotach idealnych.

— Słuchajno Władysławie! daruj, że przerywam.

— No, i cóż?

— Oto jeść mi się chce okropnie!

— A wiesz, że nie mogłeś wybrać się w lepszą porę.

— Ale, już czas do kościoła,

— A któraż u ciebie?

— Już kwadrans na czwartą.

— Eh, nie ma jeszcze! ale prawda... z twoich okien widać Ratuszowy zegar... czekajże! o, mówiłem że nie może być tak późno — dopiero w pół do trzeciej.

— Ha, więc mamy trzy kwadranse czasu.

— No to poślij po co do Michaut'a.

— Naprzykład?

— Czuję żądzę kotletowania,

— Brawo! kotlety — a wino jakie?.

— No jużci weselne.

— Zgoda Ignacy!..... dwie porcje kotletów i dwie butelki szampańskiego.

Otóż na czém prawdziwe szczęście człowieka zawisło!!!

Piękna! jak anioł gdy we snach dziecinnych
Roztoczy w górze cień skrzydeł strażniczych,
Promienna blaskiem swych uczuć niewinnych,
Kwitnąca w pełni powabów dziewiczych;
Samo spojrzenie... gdyby z tem spojrzeniem
Spotkał się zbrodniarz... płakałby z rozpaczy!
Alboby musiał uciekać ze drżeniem
Jak wąż gdy połysk szmaragdu zobaczy.

T. Moore.

Piąta już wybiła na Ratuszowym zegarze. W małym kościółku ś. Andrzeja dziad kościelny zapalił dwa razy tyle świec ile to zwykł czynić podczas mszy nawet niedzielnéj:—to też, lubo już zmrok wieczorny zaciemniał ulice, wnętrze kościołka połyskiwało zdrojem światła.

Kilkadziesiąt osób, rozmaitego stanu, napełniło kościół—u ołtarza ksiądz w uroczystéj szacie, wiązał stułą dłonie nowożeńców—Między drużbami, po prawéj stronie ołtarza stał znajomy nam Władysław—przypatrywał się obrzędowi, naprzód, obojętnie... lecz zwolna rysy jego przybrały wyraz sarkastyczny i jakby wzgardliwy co dziwną tworzył sprzeczność z uroczystą fizjonomią weselnego grona — nagle wzrok jego zatrzymał się na przeciwnéj stronie,

po czole przebiegł jakiś odcień w pół smutny, w pół rzewny, śmiech sarkazmu opuścił jego usta — oczy przybrały wyraz marzący.

Między nie wielką liczbą kobiet, w stronie gdzie wzrok Władysława spoczywał tak nieruchomie, wsparta o balustradę kościelną, stała młoda dziewczyna — postać jéj niknęła we mgle przejrzystéj, białéj szaty, jakiéj zwykle używają pod czas ślubu — czarne, błyszczące jéj oczy, wzniesione w górę, być może... marzyły o cudnych rojeniach co tak bogacą krainę młodości, być może... wprost tylko przyglądały się błękitnym szatom, doń niezgrabnie wykutych aniołków co na gipsowym obłoku wisiały u szczytu ołtarza.

W twarzy téj dziewczyny rysowały się wyraziście wszystkie tajemnice jéj serca i umysłu, chociaż tylko przenikliwe doświadczonego badacza oko mogło z wyrazu tych rysów odkryć dzieje jéj serca — zresztą, była to jedna z tych twarzy, na które niepodobna patrzeć bez zajęcia i chociaż każdy jéj rys oddzielnie brany nie miał tych posągowych, dokładnych, wykończonych kształtow, przecież, ogół fizjonomji uderzał tą dziwną harmonją i jakby muzyczną zgodą jaką zwykle tworzy, wyraz psychiczny, na

niezbyt pięknej nawet twarzy — I jéj wzrok jakby ciągnięty jakąś siłą magnetyzmu serca zwrócił się w stronę gdzie stał Władysław — uśmiech ale dziwny, jakiś figlarny, w pół męzki przebiegł jéj usta... tylko usta, bo w oczach widocznie jakiś smutek, jakieś szyderstwo błyszczało.

W głębi kościoła, w części najmniéj oświetlonéj, w romantycznych czarnych, hiszpańskich pelerynach stało dwóch mężczyzn i z wielką uwagą zdawali się patrzyć na odbywający się obrządek.

— Czy wiesz pan, odezwał się po francuzku, niższy do swego towarzysza że zaczynam sądzić...

— Mów ciszéj!

— I to nawet ostrzeżenie tém bardziéj utwierdza mnie w mniemaniu że od téj chwili zacznę pracować na moje miljony.

— Być może,

— A nawet zdaje mi się, mówił daléj niższy drżącym nieco głosem, że odgadłem już przedmiot który będę musiał zdobywać dla pana hrabiego, tak zupełnie jak Pichegrou Holandję dla zmarłéj Republiki.

— A ja sądzę nawet, że więcéj skorzystasz

nieźle wódz francuzki jemu została sława i niedola, tobie... miljony!

— W samęj rzeczy, podziwiam wytworny gust pański, ta dziewczyna ma szczególną fizjonomję.

— Anielską!

Niższy zadrżał znowu na wyraz zapału jaki malował się w głosie jego towarzysza — zdawało się że wściekła, tajona zazdrość rozrywa jego piersi.

— Czy uważa pan hrabia, że jéj oczy podobne są do oczu Zelji?...

— Pleciesz! gdzież podobieństwo? Zelja miała oczy czarne — ta, błękitne jak niebo Italji!

— Jakto? ależ pan hrabia myli się zupełnie patrz pan tylko..... o, w téj chwili... czarne! ale to zupełnie czarne.

— Powiedz mi panie Alfonsie, gdzie widzisz twoją czarnooką piękność?

— Tu, na lewo — między dwiema blondynkami które nie powinnyby stawać obok kwiatu urody, co pośród nich wykwita jak kwiat granatu z pomiędzy karłowatych aloesu liści...

— Aha! lecz twój granat mój panie, nie znęca mnie wcale — przesyciły mnie brunetki

a prócz tego, w twarzy téj panienki jest cóś złośliwie rozumnego — Wyglądałaby przewybornie w kapeluszu męzkim, z szpicrutą w ręku i cygarem w ustach... Nie lubię amazonek!

— Któraż więc zapytał Alfons z widoczną radością?

— Pan Fühl chwycił rękę swego towarzysza i nachyliwszy się ku niemu mówił cicho, jakby z gorączkowém drżeniem: ślepy! czy nie widzisz tego czystego anioła, którego białe czoło zdaje się marzyć w objęciach zielonego wieńca? któréj usta Bóg stworzył jedynie do tkliwych pocałunków miłości — w któréj oczach, prostota i razem całe niebo roskoszy jaśnieje! A jéj postać... czy widziałeś podobną? o, nigdy podobna kobieta nie zjawiła się oczom moim!.... Teraz twoja kolej! — i cóż mój panie? czy jeszcze powiesz że ona będzie należeć do mnie — czy powtórzysz to jeszcze?

— Od dziś za dni czterdzieści tę kobietę wyrwę z objęć męża i będziesz ją posiadał panie, tak jak mówiłem, oddaną ci zupełnie i kochającą prawdziwie, ale pomnij panie, *przez godzinę tylko.*

Pan Fühl nic nie odpowiedział — oczy jego

błyszczały jakimś fosforycznym blaskiem a drżenie przejmowało wszystkie członki.

Towarzysz jego przez chwilę poglądał na hrabiego z pomieszaniem i trwogą nakoniec, jakby przezwyciężając wstręt wyrzekł:

Pan hrabia pozwoli abym go odprowadził do powozu... pan... chory jesteś.

— Sądzisz, że zbliża się paroksyzm mojej nieszczęsnej słabości, wyrzekł trwożliwie hrabia, lecz ja — nie mogę... oddalić się ztąd, nie chcę utracić widoku co zczarował serce moje.

— Lecz pomnij pan jeśli paroksyzm nadejdzie to Marja.

— Milcz! dobrze, odejdźmy! prowadź mnie... Marja... powiedziałeś Marja... któż powiedział ci jéj imie?

— Ksiądz — czy nie uważałeś pan jak zapytywał zwyczajnym sposobem: „Marjo! czy bierzesz za małżonka.

— Milcz! precz z nim, odejdźmy.

Przed kościołem stojąca kareta zaprzężona w parę, białych jak śnieg, arabskich koni, unosiła pana Fühla wraz z Alfonsem, gdy orszak weselny wychodził z kościoła.

— Co za prześliczny *ekwipaż*!- wyrzekł z zachwyceniem Walery.

Nowożeniec, w godzinie weselnéj unosił się nad końmi hrabiego — pan Fuhl marzył o jego żonie — w téj sytuacji tleją zarody spekulacji *in potencja!*

Gdzież ciebie szukać... gdzie znaleźć Aniele!
Klnę ciebie świętym miłości wyrazem;
Do mnie! ach, do mnie! na wieczne wesele
Do mnie żyć i umrzeć razem!
Ja dla twéj białéj, marmurowéj skroni
Wieniec z gwiazd, splotę, zerwanych na niebie!
Ocean blasków i ocean woni...
Rozleję wokoło ciebie!..,

... Bo i w mózgu, jak w sercu człowieka jest tajemnicza komórka rozczarowania, słyszałem — że mucha usiadłszy na nosie mędrca przerywa mu najwznioślejszych idei snowanie.

Ze starego rękopismu.

W niewielkim, więcej gustownie jak bogato usprzętowanym pokoju, przy otwartym fortepjanie siedziała Emilja. — Biały, negliżowy szlafroczek cudnie odpowiadał doskonałéj białości jéj szyi i twarzy a podwyższało ją bardziéj jeszcze ubranie głowy, otoczonéj do koła w drobne szatynowe loki. — W jednéj ręce wspartéj o poręcz fotelu trzymała przechyloną głowę a dłoń ginęła pod lokami ukryta — druga biała i drobna jak u dziecka, przebiegała machinalnie klawjaturę.

I piękną była w téj chwili! nie tą pięknością czystą, idealną co raczéj cześć i ubóstwienie jak namiętność obudza, lecz..... w postaci jéj, układzie rysów i ciała było coś tak nie zwykle żądnego! że prawie niepodobna było bez żywéj

palącéj chęci patrzyć na to zmysłowe bóstwo spoczywające w miękkiém krześle.

W téj chwili Emilja ziewnęła, jakby znudzona jednostajnością swych myśli, odepchnęła nóżką małą kanapkę, zdobną pokryciem kanwy urobionej w dziwaczne tło jakieś i wstała.

— Oh! nudy! wyrzekła niecierpliwie.

W téjże chwili przez jedne z ubocznych drzwi weszła kobieta średniego wieku także w szlafroku — więc domowa — ukłonem grzecznym powitała Emilję i rzekła tonem, w którym chęć poufałości trwożliwość tłumić zdawała się.

— Jakto? już *się nie śpi* i już *zajęta*, winszuję! tak rano... dopiero jedenasta!

— Oh, moja pani kuzynko — czyli ciotko — jestem dziś bez humoru — osłabienie nerwowe dręczy mnie nieznośnie! Chciałam grać, ale ten fortepjan tak odstrojony... pani nie pamiętasz nic o tém.

— Ja, przeciwnie! dziś właśnie każę go nastroić.

— Można było zająć się tym wczoraj. — Nie sądzę żebyś miała tak wiele zatrudnień — ale mniejsza o to. — Proszę mi kazać podać śniadanie!

— Cóż?

— Sama nie wiem... czuję niesmak do wszystkiego — wreszcie... dać mi czarną kawę... ale bez cukru... tylko żeby była mocna.

— Ależ.

— Eh, co tam! wiecznie jedno... powiesz że nie zdrowo — cóż to mnie obchodzi.

— Czy tu śniadanie *pić się będzie?*

— Nie, przejdę do sypialni — ale! nie przyjmuję nikogo... chyba... jeżeli Władyi..... jeżeli pan Władysław przyjdzie, to prosić go niech wejdzie do mnie.

— Dobrze!

Emilja odeszła — a ciotka Klemencja rozkazawszy służącej przynieść maszynkę zajęła się przyrządzeniem kawy.

Ciotka Klemencja była niby ciotką, niby nie ciotką Emilji — istniało wprawdzie jakieś Szkockie pokrewieństwo między niemi, lecz dopiero po śmierci babki u której Emilja przepędziła całą młodość, gdyż rodziców jeszcze w dzieciństwie utraciła, dopiero w tym czasie Emilja wezwała do siebie daleką swoją krewnę aby służyła jéj za parawanik przyzwoitości w czasie pobytu w mieście, za co pani Klemencja otrzymywała tytuł ciotki, tysiąc złotych rocznéj pensji i wszelkie wygody — Emilja nie była bogatą —

lecz sto tysięcy złotych zebrane ze spadku po rodzicach i babce, umieszczone korzystnie przynosiły jéj ośm tysięcy rocznie, co stawiało ją w możności pędzić dość wygodne życie w Warszawie — Emilja jak wszystkie młode dziewczyny pozbawione od dzieciństwa starań matki, późniéj popsuta jeszcze pieszczotami babki, nabrała w charakterze téj w pół męzkości i kaprysów co tak uderzają niekiedy w podobnie wychowanych kobietach. — Mimo to, serce téj dziewczyny było bogate w uczucia a umysł dość wysoko ukształcony — Prócz tego Emilja była poetką i od dzieciństwa składając wierszyki obecnie, mimo nie zupełnéj znajomości sztuki, kierowana po większéj części samém uczuciem tworzyła niekiedy pełne czucia i poezji piosenki. Jak to zwykle się dzieje przy pojawieniu się nowéj gwiazdy na horyzoncie literackim, dawniejsze, już obrachowane planety skupiają się w koło nowego przybysza z ciekawą zazdrością i szyderstwem. Kobiety literatki, filozofki i poetki odsądziły od razu Emilję od godności artystycznéj, naturalnie, odsądziły zaocznie, bo tak każe delikatność i grzeczność lecz mężczyzni, dla których nowa debiutantka była ładną, nie zbyt, jak się zdawało, surowych zasad i prócz

tego wszystkiego jeszcze, dość posażną panienką — mężczyzni w ogóle i szczególe przyznali Emilji znakomity talent i białe jéj czoło wawrzynowym przystroili wieńcem. W liczbie areopagu literatów był i Władysław — lubo młody, jednakże ze znakomitém ukształceniem naukowém, dość już zaszczytnie znany w piśmiennictwie i rzeczywiście wyższych zdolności człowiek przybył on, nie tyle dla uczczenia nowego bóstwa jak raczéj z prostéj ciekawości lub nudów, które często nawiedzały samotne jego życie.—

W bardzo krótkim czasie zawiązały się pomiędzy nim a Emilją ścisłe stosunki — Władysław kierował ukształceniem i zdolnościami młodéj poetki a ona, mimo wiedzy może, uczuła wzrastającą w swém sercu namiętność dla człowieka co lubo tak młody, przecież zawsze zimny, zawsze szydzący, jaśniał tylko stale tą majestatyczną wyższością umysłu i talentu, wyższością zdolną bardzo podbić wrażenne serca.

Być może i Władysław, choć nie tak silnie, czuł ten wpływ, jaki zwykle wywiera na mężczyznie ustawiczne prawie przebywanie ż młodą, powabną i ukształconą kobietą — lecz za nadto dumny aby miał przed sobą nawet samym przy-

znać się do uczucia, które za słabość niegodną siebie uważał, starał się wmówić w siebie, że jedynie współczucie artystyczne wiąże go do Emilji — i dla tego to, nigdy w samotnych ich rozmowach nie było wspomnienia o uczuciach, które przecież oboje żywili w sobie. Ztąd zapewnie, z téj niewiadomości zobopolnéj powstała w ich obejściu się z sobą ta dziwna poufałość, która między niższymi ludźmi wydawałaby się zbyt rażąco. — Zdażało się niekiedy że Władysław przyszedłszy do Emilji znużony pracą i myślami witał ją pocałowaniem w czoło i Emilję nie obrażał wcale podobny postępek człowieka dla którego czcią przepełnione było jéj serce, niekiedy jednakże, zdawało się że oburza i gniewa Emilję ta obojętność człowieka do którego cała jéj dusza wydzierała się z tęsknotą i zapałem, lecz dziwaczny jéj charakter wtedy właśnie rysował się w całéj swobodzie i obojętności podobnéj do owego współczucia tylko przyjaźni ścisłéj, prawie braterskiéj, lecz która nie ma nic wspólnego z miłością chociaż zawsze prawie pierwsza jest tylko pokrywką drugiéj.

Takie było wzajemne położenie dwojga młodych, do chwili w któréj Walery tak otwarcie

wyrzekł do Władysława: „Przysięgnę że kochasz Emilję“ Słowa te silny wpływ wywarły na umysł Władysława — Zdawało się że jakaś zasłona dotąd kryjąca tajnię jego serca, spadła mu przed wzrokiem i dojrzał cały ogrom namiętności wrzącéj i potężnéj jak każda namiętność istniejąca w sercu naszém któréj bytności sami przeczymy — Wtedy zrodziła się w nim gwałtowna chęć posiadania téj kobiety i druga znowu oderwania się od niéj zupełnego, granicząca z gniewem którego przecież przyczyny wytłumaczyć sobie nie umiał. — Nakoniec, postanowił pozostawić rzeczy zwyczajnemu biegowi licząc że będzie w stanie przytłumić w sobie zbudzone uczucie — bo Władysław był dumny! liczył zupełnie na siły téj pychy z pomocą któréj dotychczas ujarzmiał swoje chęci — czy liczył za wiele? zobaczymy!

W pół godziny po odejściu Emilji, ciotka Klemencja zaniosłszy jéj żądaną kawę, usiadła na sofie i zagłębiła się w przeszłość, a porównawszy ją z obecnością wyciągnęła wypadek na zupełną korzyść ostatniéj. — Ciocia Klemencja wiedziała dobrze że położenie jéj przy Emilji utrzyma się tak długo, dopóki ta nie znajdzie sobie pewniejszéj w świecie opieki, czyli jaśniéj mówiąc,

dopóki nie pójdzie za mąż. Rzecz prosta, zacna ciocia stosując się do prowincjonalnego jej stron przysłowia „bliższa koszula ciała jak suknia" radaby z całej duszy skazać swoją krewnę na wieczyste panieństwo i dla tego niezmiernie radowała ją teorja Emilji przeciw—małżeńska którą i ona i Władysław, zawsze głosili—Lecz ciocia była doświadczoną niewiastą i dla tego tenże sam Władysław jakkolwiek zdający się potępiać myśl związku małżeńskiego w Emilji, wzniecał w niej jakąś przeczuciową trwogę.— Nie pojmowała ona co może zajmować dwoje młodych osób ciągle przebywających z sobą sam na sam, którzy niby nie kochają się w sobie.— O współczuciu artystycznem dobra ta kobiecina wyobrażenia mieć nie mogła; gubiła się w domniemaniach jaki cel mógł mieć Władysław w zawiązaniu tak bliskich stosunków z jej młodą kuzynką..... właśnie, w tej chwili starała się odgadnąć ten cel tajemniczy... gdy targnięcie dzwonka oznajmiło jakąś wizytę.

— Niezawodnie Władysław, pomyślała Ciocia.—

Jakoż przeczucie nie zawiodło ją wcale, po chwili wszedł Władysław.

— Czy panna Emilja przyjmuje? zapytał się grzecznie.

— To jest... moja siostrzenica... jest słabą... lecz pana... zapewnie przyjmie.

— Oh, być może, przybycie moje zrobi jaką różnicę — więc oddalę się.

— Ale nie! mówiła mi odchodząc że jeśli przyjdzie pan Władysław to prosić go do buduaru.

— W takim razie niech pani raczy uprzedzić pannę Emilję.

— To niepotrzebne — może pan iść i tak...

— Więc pójdę — a jeżeli mnie złają — na panią spadnie cała wina.

— Ciocia Klemencja pokazała czarne ząbki, co miało oznaczać przyjemny uśmiech, a Władysław udał się do Emilji.

Zastał ją w pół leżącą na bogatéj otomancę. Złote frenzle aksamitnéj, purpurowéj poduszki jakby promienie otaczały jéj piękną głowę — Przez wątłą, muślinową zasłonę należało zgadywać w pół skryte wpół widne jéj piersi co kołysały się zwolna jak białe lilje wzruszone łagodnym powiewem. — Trzymała w ręku album i ołówkiem kreśliła na jego karcie... pisała!

— Władysław z bijącém sercem poglądał na

tę młodą dziewczynę która jakby w téj chwili dopiero zajaśniała mu wszystkiemi powabami w jakie namiętność swój przedmiot przystraja.— W istocie — to pół światło zciemnione od firanek, to woń, właściwa buduarom kobiet lepszego towarzystwa i nakoniec, ta postać strojna we wszystkie powaby młodości i ponęty..... wszystko to mogło i powinno było wywrzeć wrażenie na każdym i tylko brzemie wieku mogłoby usprawiedliwić obojętność zmysłową, a Władysław miał lat dwadzieścia cztery!

— Ach! jesteś pan tu, panie Władysławie! Cóż to ma znaczyć? patrzysz na mnie tak poważnie i milczysz... wyglądasz jak groźny posąg Komodora!

— Pisałaś pani... i, niechciałem przerywać natchnienia.

— Prawda, zaczęłam — jak ci się podoba? słuchaj!

I Emilja uniosłszy się na ręku zaczęła czytać swoim srebrnym głosem.

.... Przeklinam ciebie!
Gorzka męczarnio życia smutnego
Pierwsza z roskoszy serca mojego,
Gwiazdo jedyna na mojém niebie!
Coś z krwią młodzieńczą złączywszy życie

Serce skazała na wieczne bicie....,
Gdy odrodzony żyć rozpoczynam...
To ciebie biała różo miłości
Kraino serca, mar i gnusności
Ja ciebie nędzna przeklinam!

A ciebie... żegnam! Jasna miesięczna!
Natchniona moja królowo!
Ciebie, coś cicha, i znowu dźwięczna
Nad pochyloną myślami głową
Laurowym wieńcem świeciła!
Coś w mojéj duszy ciemną świątynię
Jasnym aniołem schodziła!

Choć smutne życie w mękach przeminie,
Wiara w potęgę młodości skona,
Lecz ciebie serce nie prześni....
Moja kochanko! moja natchniona!
Królowo moja! O pieśni!..

. . . .

Bard — moją lutnię rozbijam!
Śpiewak — nad pieśni się wzbijam
Żegnaj mi harfo bojowa!

Milion serc bije jednym zapałem
A po nad pieśni chórem wspaniałym
Miljon się laurów unosi...
Rycerz swój oręż milcząc podziwia

Wieszcz się pięknością kształtów roztkliwia
Lecz nikt posągu nie wznosi.

.....No, i jakże zapytała Emilja zatrzymując się i patrząc błyszczącym wzrokiem na Władysława — jakże się tobie podobają te wierszyki, mój jedyny bezstronny sędzio?

— To tylko ustęp, bez całości... lecz ładny.

— Podoba się tobie, jakżem szczęśliwa! Bo nie wiesz może, ale ja nawet w chwilach zapału pamiętam o tobie i... myślę czy podobają się tobie moje piosenki.

— Bardzo!

— A więc dobrze! ponieważ jesteś zadowolniony ze mnie, mój mistrzu, pocałuj mnie w czoło, w moje natchnione czoło, dodała żartem.

Władysław zadrżał — ale nie poruszył się z miejsca.

— Jakto nie chcesz? brawo mój panie!... I nie, na serjo? dodała zmrużając cudne oczy, od których wyrazu serce Władysława topniało a krew burzyła się w żyłach — ha! więc ja będę uprzejmą za ciebie.

— I podnosząc się zwolna przystąpiła do niego z twarzą pół — smutną — pół żartobliwą.

— No! usiądźże pan... jesteś za wysoki... nie dostanę... o , tak.

I usta jéj dotknęły się lekko czoła Władysława.

Wszystkie nerwy zadrżały w młodzieńcu, ręce mimowolnym ruchem uniosły się i zapragnęły objąć wysmukłą postać dziewczyny — lecz zaledwie dłoń jego dotknęła sukni... rzecz dziwna! już szatan refleksji zasyczał mu w ucho: to śmieszne, słabe, to nie godne ciebie; i ramiona jego opadły — tylko muskuły twarzy drgały targane wewnetrzną walką, cielesnéj chęci młodzieńca, z chłodną refleksją mózgu, i taka była moc téj refleksji że krew młoda ostygła od jéj powiewu — i Władysław tłumił w głębi piersi gorycz i zniechęcenie.

A Emilja?...

Gdy ręce Władysława dotknęły ją przez chwilę — gdy objęcia jego zdawały się otwierać dla niéj..... serce jéj biło gwałtownie! Oczy przesłoniła ta mgła upojenia przez którą tak cudnie prześwieca roskosz! Przechyliła się ku Władysławowi, dłonie jéj wsparły się na jego ramionach a pałające tchnienie jéj ust purpurowych powiało na czoło młodzieńca.

Władysławie, mój Władysławie! wyszeptała cichym, przerywanym głosem..... I piersi jéj w pół widne podnosiły się bujnie i ta woń... świeżego, młodego ciała podrażniła zmysły Władysława — i wreszcie zniknął złośliwy Demon refleksji. Jakby odrodzony nowém życiem objął giętką postać Emilji — usta jego już dotykały przejrzystéj gazy co kryła gors liljowy. Wtém... nowa fatalność!.... Emilja... kichnęła!

Są organizmy u których nozdrza za połechtaniem powietrza w części drażliwe wydają z siebie płyn przez prychnięcie bardzo głośne.

Emilja przeraźliwie kichała!

Władysław parsknął wybuchowym śmiechem! — Emilja odskoczyła jak od jadowitego gadu!

Przez chwilę pozostali w tém położeniu przykrém i śmieszném zarazem — Władysław nie mógł pohamować szalonego śmiechu — Emilja z początku jakby piorunem rażona, po chwili rozwagi, także śmiać się zaczęła — I śmiała się bez przymusu choć serce jéj pękało z żalu! Śmiech ten wzmagał się ciągle — potém zaczęła znów płakać i śmiać się na przemian, ale śmiech i płacz były nie naturalne, przykre.

Władysław znając usposobienie Emilji po-

jął że scena ta przedłużona zagraża jéj niebezpieczeństwem — Jakoż w téjże chwili gwałtowny attak nerwowy i spazmatyczne drżenie serca zastąpiły śmiech.

— Emilja padła na otomankę.

Nie wszystko łatwe co się łatwem zdaje
Na sztorc postawił Krzysztof Kolumb jaje!
Ni ztąd ni z owąd!

Bo pieśni wieszczów w narodzie są tak,
Jako w człowieku bywa serca bicie,
Co razem w ciele utrzymuje życie,
I o życiu daje znak.

R.

Dziwny to jakiś wiek nastał dla Artyzmu! Miejsce promieniejących pięknością utworów, zastąpiły martwe medytacje i rozprawy, które tak się mają do sztuki jak rozprawa o życiu do samego życia.

Najbardziej zabija istniejące lub wyrabiające się u nas talenta brak grúntownego ukształcenia — bo jak istotna nauka na jasném i wysokiém stanowisku oparta rozwidnia rozum artysty i daje mu świadomość kierunku jaki ma nadać zdolnościom swoim... tak znowu nieuctwo a raczéj owe niedouczenie się obłąka tylko, częstokroć i świetne nawet zdolności, odbiera wiarę w świętość ducha i wypija czyste i łagodne źródło uczucia co tak bogato wytryska w sercu każdego artysty!

Ztąd to powstaje ta niepewność w myślach,

ten brak przekonania w działaniu i wreszcie owe niedołężne rosprawki, którym szumne estetycznych badań dają nazwiska — bo artysta często istotnym obdarzony talentem, czuł obecność jego w swéj piersi...a późniéj, zatrzymany w pół drogi na zawiléj ścieżce nauki, niewie gdzie się obecnie znajduje. — Człowiek taki wydaje mi się podobnym do ślepego co kijem szuka zatraconéj drogi od któréj przepaść go oddziela. Taki rodzaj kalectwa umysłowego wykrzywia też i pojęcia artystów. — Zewnętrzne ozdóbki i płytkie określenia biorą oni za samą istotę i dla tego ze wzniośléj i majestatycznéj sztuki zrobili sobie mizerną machinkę sztukateryjkami upstrzoną... Biedne istoty! Nie wiedzą, że jak w jednym kwiatku leśnym więcéj jest piękności i wdzięku niż w tomach estetycznych rozpraw, tak w jednym dniu życia człowieka, więcéj mieści się nauki niż w stu wyłysiałych głowach mędrków — Widziałem wielu podobnie obłąkanych. Widziałem jednego patrząc w zwierciadło. Litość bierze patrzyć na niszczącą ich chorobę i wtedy nabrałem przekonania że w pewnych okolicznościach życia lepiéj jest ośmielić się na energiczne salto-mortale wstecz nagromadzonych niepotrzebnie obłędów, by na nowo rozpocząć niebespieczną podróż do świątyni ma-

drości, niż niedołężnie pełzać wkole fałszu i niepewności.

Literatura piękna powszechnie już dzisiaj obrała sobie jedną główną formę to jest: powieściowo — dramatyczną — Tak objawiająca się literatura najwyżej wzniosła się we Francji gdzie pisarze znakomitego talentu objęli w ramy powieści i dramatów kwestje najżywotniejsze. — Nadto, potrafili oni osnuć idee swoje na wątku pełnym zajęcia, posilanego częstokroć wypadkami nadnaturalnemi a przynajmniej nadzwyczajnemi lecz wydanemi umiejętnie — Że u nas naśladownictwo zawsze znajdowało propagandę... to też liczni pseudo pisarze o małych zdolnostkach i mniejszém jeszcze ukształceniu rzucili się za śladem illuminarzy francuzkiej literatury. — Stąd to powstają te potworne płody w dziedzinie powieści — stąd zatracenie drogi właściwej i wreszcie brak samodzielności. — Dziwna to chęć naśladownictwa! Jak gdyby ludzie nad Sekwaną różnili się od nadwiślańskich mieszkańców. — Wszędzie też same dzieje serc ludzkich — wszędzie też same cnoty i występki — i niech tylko pisarz we własnym narodzie — w najbliższém siebie kole nauczy się

badać tajnie serc ludzkich i charakterów, i odkrywać skryte ich działań pobudki... to pewnie prędzéj i łatwiéj dopnie celu niż tworząc we własnéj wyobraźni najdramatyczniejsze sytuacje, bo zaprawdę! W dziejach serca każdego a przynajmniej wielu ludzi spoczywają powieści okropne i pełne przykładu — bo serce człowieka, to sfinks tajemniczy, w którego głębi leżą bogate skarby a jeśli potęga artysty zdoła wszechmocném zaklęciem rozwiązać usta tajemniczego symbolu to znajdzie w historji jego najobfitsze materjały dla wyobraźni swojéj — Lecz trudna to nauka przenikania i odgadywania skrytości serca!... Życiem pełném walk i bolesnych zawodów dokupić się téj władzy potrzeba! Tylko serce przecierpiane pozna ślady burzna obcéj twarzy, tylko dusza wysoka i zraniona odgadnie tajemnicze odcienia smutku bratniéj sobie istoty;... choć łatwo, bardzo łatwo! poznać z siniaka w które miejsce uderzono kijem! sic in mundo.

— Walery należał do liczby tych niedouczonych, niepewnych swéj drogi artystów — Wynikało to poniekąd z saméj natury jego charakteru, który nigdy nie odznaczał się tęgością i siłą, tak potrzebnemi w każdém umysłowem

przedsiewzięciu; — zawsze marzył on o przyszłości wtedy, gdy należało używać obecności; nie pojmował że *jutro* jest przyszłością *dzisiaj* i że życie całe na *jutra* liczyć musimy. Oczekiwanie jest letargiem w działaniu i dla Walerego ta przyszłość w której całe położył nadzieje upływała *jutrami* nie przynosząc żadnej korzyści. — Nie dawno rozumiał, że zaślubiwszy Marję..... na łonie cichego, domowego szczęścia, talent jego zabłyszczy wszystkiemi barwami potęgi posilanej przez miłość i upojenie serca — teraz — lubo zaledwie kilka tygodni upłynęło od zawarcia związku, już zdawało mu się że to właśnie życie domowe zużywa siły jego umysłu — że gnusność i bezwładność jego myśli są następstwem téj właśnie spokojności która miała być podnietą ducha... I tak szukał w zewnętrznych wpływach przyczyny która mieściła się we własnym jego charakterze — Teraz już nie znajdował w błękitnych oczach Marji tego zapału i natchnienia co dawniej tak bujnie z nich przeświecały, bo uroczy blask tych oczu, wilgotna ręka zmysłów pomazała tłuszczem przesytu — Teraz marzył, że tylko na łonie natury dusza jego podnieść się zdoła i obecnie ideałem chęci tego niestałego umysłu były

góry Italji, jej bohaterskie, gruzami osypane wspomnienia! burzliwe oceanu wały... lub wreszcie olbrzymia Wschodu wegetacja — Lecz jeśli pierwéj trudno byłoby mu wykonać żądzę podróży, to obecnie zamiar ten był niepodobieństwem, bo Walery jakkolwiek zarabiający tyle że mógł utrzymać dom swój na stopie dostatniéj mierności przecież nie miał żadnych pieniężnych zasobów — a chociaż doskonale i z wszelkiemi wygodami podróżować można w wyobraźni w tym pięknym kraju gdzie wszystko na *credit* dają, to znowu na prozaicznym naszym świecie za wszystko płacić potrzeba..... Jednakże, jeszcze w objęciach Marji, śród upojenia zmysłów, Walery uczuwał się szczęśliwym. Zbyt świeże, zbyt nowe i jeszcze nie zużyte roskosze pierwszych dni małżeństwa z kobietą tak ukochaną, wywierały cały urok na serce młodego malarza — lecz upojenia te były chwilowe a skoro tylko podniety ich usuwały się z przed wzroku, serce jego napełniała gorycz, umysł trawił się w zgryzocie a w uszach brzmiały pozorem prawdy i wyrzutu pamiętne słowa Władysława — „Artysta tworzyć powinien! Jemu Sztuka powina być najpierwszą małżonką — Niech rzuci rodzinę i wszystko, jeśli to dla dobra

jego żywiołu potrzebnem będzie" — I wtedy to Walery żałował gorzko że nie jest jeszcze samotnym — Wtedy przeklinał godzinę w której związek jego z Marją zawarty został — W duszy tego człowieka istniała owa niesytość, to pragnienie palące co wiecznie żąda... Żądza tak wreszcie właściwa człowiekowi, będąca jednym z najsilniejszych dowodów nieśmiertelności jego ducha.

Marja przeciwnie — Dla niej całym światem był obręb domowy — Ideałem marzeń — Szczęście jej męża — bo Marja kochała Walerego tém czystém, łagodnem uczuciem, które łączy w sobie razem najczulszą miłość kochanki i serdeczną przyjaźń siostry — Sierota, sama na świecie, w nim jednym miała wszystko — Wszystkie uczucia serca, wszystkie mary wyobraźni, wszystkie chęci duszy objęły postać Walerego, jak zielone bluszczu gałęzie posąg marmurowy... Kobieta z takiem usposobieniem znajdzie czysty zdrój szczęścia w cichem życiu domowego ogniska choć też same przyczyny nie zadowolnią nigdy męzkiego, wyższego umysłu — bo dla niej jeden świat tylko istnieje... on, tworzy ich tysiąc po za obrębem rodzinnego koła — i dla tego jak tylko burze życia wstrząsną to ciche

ustronie, gdy szalona namiętność w niszczącym swoim biegu wyrwie raz roślinę łagodnego spokoju — to kobieta, kapłanka téj małéj świątyni serca, walcząc polęże na jéj zwaliskach! Bo taka burza zabija i moralne jéj życie — bo kwiaty uczucia i kwiaty szczęścia na wybranym tylko gruncie pielęgnować się dają, i raz uwiędłe nie odkwitną na nowo!... — A mężczyzna?... On zpogruchotanéj nawy domowego życia wyleci jak feniks odrodzony — i pójdzie tworzyć nowe dla siebie światy. Nie ma więc równowagi w świecie praktycznym i słuszny ztąd wniosek, że stosunek między cierpieniami płci obojéj jest taki: *Gdy dla kobiety niknie szczęście życia — wtedy mężczyzna... traci apetyt!*

Biada niewiastom jeśli kochają szaleńców,
Których myśli jak dymy wiecznie nad dach ulatują.

.....Wybiła czwarta zpołudnia.....W mieszkaniu Walerego pusto i cicho — Nie widać tego ożywienia, jakie zwykło towarzyszyć przynajmniej początkowym chwilom małżeńskiego pożycia, Marja sama tylko, siedzi przed stolikiem, jakaś książka roztwarta przed nią... lecz oczy biednej kobiety nie spoczywają na jéj kartach — te oczy są zczerwienione — widać płakały przed chwilką, teraz wlepiła je w pusty przestwór czterech ścian i patrzy tak, jak patrzą ludzie wtedy gdy wzrok duszy, lub wzrok serca wyręcza strudzone ciała źrenice więc nie patrzy nigdzie, tylko łzami już oschłemi zkrysztalone spojrzenie błyszczy nieruchomie jak szkło przy słońcu.

Na stoliku przed którym siedzi Marja położono nakrycie na dwie osób.

...W téj chwili weszła kucharka, posmolona

nieco i niezbyt starannie uczesana, jak wiele kucharek.

— Czy pani każe podać obiad?

— Nie — zaczekam na pana.

— Ale, wszystko się zepsuje — Mięso rozgotowało się już zupełnie, a kluseczki zrośnięte ze wszystkiem! — Już po czwartéj proszę pani!

— To nic, zaczekam — ón wkrótce nadejdzie.

W trzy tygodnie po ślubie Marja *czekała* na męża z obiadem!

Może to jest drobnostka — rzecz bardzo prozaiczna nawet — lecz kto zna serca kobiet młodych, nerwowych, pojmie że w tych nic nie znaczących drobnostkach leżą przykrości gryzące. A zresztą... stało się już zasadą na świecie: „że w miodowych miesiącach żona nie czeka na męża z obiadem!“ na czém oboje nawet nie źle wychodzą bo prócz uniknienia przykrości intellektualnych, jedzą nie rozgotowane mięso i nie zlepione kluseczki.

Pół godziny upłynęło jeszcze... Marja ocknęła się z bolesnego zadumania — smutek ścisnął serce młodéj kobiety — jakieś przeczucie mówiło jéj że świetne chwile jéj życia przebrzmiały

już niepowrotnie! zdawało się że miłość jej męża gaśnie z każdym dniem ich życia, a choć nie pojmowała przyczyn lękała się skutków. Bo jakże blado odbijało to życie złożone z drobnostkowych udręczeń i przeczuciowych niepokojów, przy świetnych, barwistych dniach przeszłości! Przeszłości tak świeżej jeszcze że opromieniała obecność całym blaskiem rojonego szczęścia, całą uludą stworzonych sercem nadziei.

— Proszę pani! Już rosół wykipiał zupełnie i dalibóg wszystko na nic się nie zda.

— Daj mi pokój! Nie chcę jeść.

W tém, głos dzwonka dał się słyszeć w przedpokoju.

— Otóż on! — pójdź Katarzyno, otwórz panu.

Walery wszedł — Na czułe powitanie żony odpowiedział obojętnym pocałunkiem w czoło i nie zdejmując naciśniętego na oczy kapelusza rzucił się w krzesło.

Marja zbliżyła się do niego — zdjęła kapelusz z głowy męża i otarłszy chusteczką spocone czoło przegarnęła delikatną rączką jasne jego włosy.

— Tak bardzo utrudziłeś się — Cóż ci jest Walery?

— Nic mi nie jest, odpowiedział cierpko.

— Lecz, mój drogi, raczysz kłamać przedemną, mówiła z uśmiechem anielskiej dobroci Marja, a to nie godzi się mój mężu! No odpowiedz, a przedewszystkiem przywitaj mnie cokolwiek czuléj, szczerzéj!... Wstydź się mój panie... pocałowałeś mnie w czoło tak, jakby to było po dwudziestu latach szczęśliwego pożycia — Doprawdy, brakuje tylko żebyś zaczął ziewać w téj chwili — No, mój panie! Serca... więcéj serca... proszę! Ja daję przykład.

I ucałowawszy rozjaśnioną swém szczebiotaniem twarz Walerego, usiadła mu na kolanach.

— Bo widzisz moja droga Marjo, jestem jeszcze cały pod wpływem wrażenia, cudownego! Wyobraź sobie... byłem w galerji obrazów... to jest istotnie, nie jest to galerja, tylko zbiór bardzo mały co do liczby lecz nie zrównanie bogaty jakością—Pomyśl tylko Marjo, widziałem kilkadziesiąt oryginalnych dzieł malarzy średniowiecznego i dzisiejszego świata... Monumenta ubóstwionéj przezemnie sztuki! Och! jakże to wielkie jak piękne!—Jakże uczułem się małym i poniżonym w obec tych boskich kształtów! Ach, ty nie pojmiesz co to jest za roskosz

i rozpacz razem dla artysty widzieć utwory, których doskonałość zachwyca go i... przeraża! Bo nie śmie wznieść się do nich.

— Skądże się wzięły te arcy-dzieła?

— Należą do pewnego cudzoziemca — negocjanta, hrabiego... Bóg wie zresztą kim jest ten człowiek! Lecz posiada ogromny majątek i podróżuje.

— I jakimże sposobem poznałeś się z tym panem?

— Nie poznałem go wcale... lecz hrabia Alfons którego znasz.

— Tak, tak rzekła Marja, a dreszcz mimowolny przebiegł jéj ciało.

Otóż pan Alfons, który nie wiem dla czego narzuca mi się ustawicznie z swoją przyjaźnią i protekcją...

Marja zarumieniła się gwałtownie, chciała coś mówić lecz tylko poruszyła ustami, a Walery mówił daléj.

Otoż dzisiaj zaproponował mi obejrzyć ten zbiór cudowny, ponieważ on jest spółtowarzyszem tego podróżnika.

— Lecz któż jest ten podróżny?

— Niewiem—Alfons nic mi o nim nie mówił nad to że jest niezmiernie bogaty i nazywa się pan Fuhl.

— A cóż ma za znaczenie przy nim ten pan?

— Hrabia Alfons?

— Tak.

— Czy ja mogę wiedzieć -- Wy kobiety jesteście nadzwyczaj ciekawe!

— Nie, Walery — to nie jest prosta ciekawość.

— A cóż cię obchodzi figura tego pana?

— Ale... bo będziesz śmiać się ze mnie, lecz powiem ci... że pan Alfons... nie podoba mi się wcale!

— Tém lepiéj dla mnie!

— Nie żartuj mój drogi! Powiem ci że jakieś przeczucie mówi mi że ten człowiek zatruje nasze życie... ja... nawet wiem o tém.., bo... on śmiał mówić mi takie rzeczy.

— Cóż?

— Oh, nie unoś się.., lecz mówił mi że jestem bardzo ładna... że warto poświęcić miljony za ucałowanie nóg moich... i... jeszcze.

— Eh! dziecko jesteś! Powiedział ci to co sądził że powiedzieć należało z obowiązku grzeczności towarzyskiej -- Widzisz aniele, u nas są przesądy — u nich, podobne rzeczy mówi się każdéj kobiecie przez uprzejmość i zapomina się o tém powiedziawszy.

— To brzydki zwyczaj — to jest lekceważenie słów serca... Zresztą po co się tak przyczepił do ciebie ten człowiek? Mając takie arcydzieła w swoim zbiorze po cóż nabywał tak drogo twój obraz?

— Dajże pokój! Zwyczajnie, człowiek ukształcony zna się na sztukach — widział bardzo wiele — prócz tego młody — obcy w tym kraju, cóż dziwnego że stara się zawiązywać stosunki gdzie mu się podoba?

— Lecz, mój mężu.

— E! dajże mi pokój — Na honor, to zaczyna być śmieszne! Strzeż się Marjo... gdyż wezmę cię za dziwaczkę... zdaje mi się że od niejakiegoś czasu postrzegam w tobie chęć moralizowania — dajesz mi zawsze jakieś przestrogi... Sądzę, że to raczej do mnie należy.

— Walery!

— Teraz, zacznij płakać — to będzie jeszcze lepsze — zrobim scenę, której widzem będzie Katarzyna z półmiskiem w ręku — Wstydź się pani!

— Przebacz mi, lecz sądzę że nie powinnam wstydzić się tego, co serce moje za prawe uzna-

je — a chociażbyś miał obwinić mnie znowu o chęć dawania ci przestróg... to przecie, mój mężu, powiem ci... że pan Alfons nie jest człowiekiem dla ciebie... bo widzisz, ja nie mylę się, tu w sercu mam przekonanie, że ten człowiek nie pojmuje ani związków przyjaźni, ani godności sztuki, to samolub, Walery! On nosi takie piętno na twarzy.

— Cha! cha! cha! Cudowna jesteś z twojem proroctwem.

— Śmiej się... ale ja widzę że pan Alfons jest człowiekiem zupełnie innéj sfery... Wy artyści, macie swoje odrębne znaki w moralnéj waszéj fizjonomji i chociaż który z was jest zepsuty życiem, lub strawiony namiętnościami, to zawsze w charakterze jego pozostanie widoczną ta nie wytłómaczona szczerość serca, która mimo waszych usiłowań nawet widzieć się daje.!. jak Władysław naprzykład — Ten człowiek pozornie zimny, szydzący — jednakże on ma w sobie tę prawość uczucia którą tak szanuję w mężczyźnie — a twój pan Alfons?... to... daruj mi, ale to jest albo kuglarz... albo... głupiec!

— Pleciesz! Wiesz Marjo, że nie znam nic nudniejszego w świecie, jak kobietę młodą co

wdziera się gwałtem w psychologiczne rozprawy... Dajcie pokój, to nie jest atmosfera właściwa dla płuc waszych — Wasza rzecz, pilnować domowego koła i wyznawać to w co wam ojciec, brat, lub mąż wierzyć każą!

— Walery, mój Walery! przebacz mi, może zbłądziłam... lecz nie wyrażaj się w ten sposób... to jest niegodne ciebie!

— Do mnie sądzić należy o tém co mnie jest godne lub nie — raz na zawsze proszę cię Marjo! nie narzucaj mi nigdy zdań twoich ani waż się robić uwag nad mojém postępowaniem... gdyż przysięgam ci na honor! że tego nie zniosę... gdyż to jest... niedorzeczne!

— Marja zasłoniła oczy chustką.

— A — teraz płaczesz... to już nie do zniesienia — podobnych scen niespodziewałem się i darujesz pani że świadkiem ich nie będę.

— Wziął kapelusz i wyszedł.

— Proszę pana! Już obiad na stole! Niechże pan nie odchodzi znówu! Zawołała przestraszona nową zwłoką Katarzyna.

— Idź do djabła!

— Zdaje się że nasz pan podchmielił sobie dzisiaj, pomruknęła katarzyna—to jak mój nieboszczyk. W dwie niedziel po ślubie już mnie wybił porządnie — a i tu widzę nie daleko do tego. No, no! A mądrzejsze to niby!

Nie pragnę złotych piasków wybrzeży,
Ni spokojnego zacisza w murach,
Bo ma istota zrodzona w chmnrach,
A moje czoło... w piorunach leży!

Wł. Wolski.

Honor jest jak przepaścista skała, na którą ani wnijść bez trudów, ani znijść bez wielkiego szwanku nie można.

— *Maxyma wyjęta z wzorków kaligrafji średniéj p. Oleszczyńskiego, do użytku szkół Obwodowych.*

Przed bramę jednéj z celniejszych restauracji zajechał pyszny powóz, lokaj otworzył stopnie i wsiedli weń Walery i hrabia Alfons.

Na twarzy Walerego widać było ślady skończonéj biesiady.

— Dokądże udajemy się teraz, zapytał Walery.

— Sądzę, że będzie czas do Teatru.

— Już późno.

— Może cokolwiek — lecz to prawie jedno — dziś opera, posłuchamy.

— Lecz niedostaniem miejsc dobrych.

— O, bądź pan spokojny — ja przez cały ciąg pobytu w tutejszém mieście — jak i gdzie

indziej trzymam lożę... którą nawet kazałem umeblować.

— Czy pan Fühl będzie w teatrze?

— Wątpię... lecz chociaż podróżujemy razem, on przecież oddzielną ma lożę... Zresztą, sądzę że on w tej chwili obiaduje. A propos obiadu — w waszych restauracjach nie źle gotują tylko wina tak liche że prawdziwie, poświęcałem się dla twego towarzystwa.

— Co do mnie, jadłem z zupełnym smakiem, być może z powodu że nie jadłem nic od śniadania... gdyż żona moja przyjęła mnie dziś z wymówkami jakiemiś i dla tego... rozgniewałem się i nie czekając obiadu wyszedłem z domu.

— I dla czegóż!

— Ależ hrabio, gdybyś wiedział jak to przykro być niezrozumianym — Ja przychodzę do domu upojony widokiem arcydzieł genjuszu! — z marzeniem o cudownej naturze co takich twórców karmi swém powietrzem... a tu, pani... występuje z moralną nauką... poważa się strofować mnie... Rozumiesz pan?

— Ha, co czynić? człowiek powinien stosować się do położenia w jakiém go los lub własna jego wola umieści — najtrudniej to podobno umieć znosić... lecz skoro potrzeba.

— Lecz, skoro wola moja umieściła mnie w téj sferze w jakiéj jestem... to czemużby taż sama wola nie zdołała nadać przedmiotom mnie otaczającym kierunku jaki podoba się mnie uznać za właściwy?

— Czemu? ba, ba! Bo mój panie, człowiek jest genjuszem jeżeli samowładnie rządzi sobą samym a gdyby rozkazywał okolicznościom jakie go otaczają... byłby bóstwem!

— Ja sądzę że każdy człowiek ma w sobie Boga żyjącego...

— W tym względzie, powiem panu, podobało mi się bardzo zdanie pańskiego przyjaciela, pana Władysława, którego zastaliśmy u téj poetki Emilji, gdzie raczyłeś mnie wprowadzić.

— Jakież to zdanie nie pamiętasz?

— Powiedział on „Każdy ma Boga w *sercu* lecz musi dopracować się potęgi stania się jego synem prawym — ale to trudna praca... Trzeba siać wiele!.. Trzeba zasiewać wszystko co tylko duch posiada wzniosłego, co serce ma boskiego... a pod czas siewu trzeba czystéj pogody w sumieniu, by zdrowe i czyste ziarno rzucać na glebę. — A choćby i nie doczekać się zbioru w życiu obecnem, to przecież trzeba z silną wiarą zasiewać, nawet w ostatniéj chwili życia. I ten

tylko cieszyć się będzie plonem wcześniejszym od innych i świetnym kto ma taką wiarę w *przekonaniu* i *czynie.*

— W istocie spamiętałeś pan zasadę moralną. — Czy zastosujesz ją w życiu?

— Bynajmniéj! lecz stosowałbym ją niezawodnie, gdyby ta prawda zapracowana była moim umysłem... Lecz oto przybyliśmy do teatru — niech pan wysiada.

Orkiestrę macie nie złą i chórzystów dość dobrych — lecz widzę brak głosów solowych... A ten młody tenor jak się zwie?

— D...

— To bardzo dobry śpiewak i aktor zarazem — nie wielu lepszych znajdziesz za granicą.

— Ale zawsze, teraz znacznie postąpiła u nas opera. — Dawniéj nie mieliśmy jéj wcale.

— A jednak, to jest jedna z tych subtelnych przyjemności życia, tylko trzeba jéj użyć w teatrze opery w Paryżu, Dreznie, Londynie lub Medjolanie.

— Pojmuję, że to musi być coś bardzo znakomitego.

— Bez wątpienia!

— Co do mnie, zazdroszczę panu jego swobody życia...

— Taką swobodę nadaje mi jedynie majątek...

— Hm! można być bogatym i zależnym.

Alfons bystro spojrzał w oczy Walerego i po chwili zapytał:

Pan... czy posiada majątek?

— Niestety! Utrzymuję się jedynie z pendzla, lichego pendzla, jak pan widziałeś...

— Owszem, owszem! Są zarody znakomitych zdolności... tylko trzeba je ukształcać — trzeba pracować... widzieć naturę — studjować ją... słowem, powinieneś pan wyjechać w podróż do Włoch, do ziemi kunsztów koniecznie!.. Lecz... przepraszam! Pan masz żonę.

Mam — i Walery westchnął smutnie.

— W takim razie już nie umiem panu poradzić. — A raczéj.... nie chcę — gdyż mógłbyś obrazić się, a ja nie mam zupełnie tego zamiaru.

— Owszem — mów pan. — Biorę odpowiedzialność na siebie.

— A więc, sądziłbym... to jest raczéj... ja — gdybym był posiadaczem pańskiego talentu...

— Cóżbyś uczynił?

— Rozważyłbym jego siły i zdecydował się na jedno.

— Jakto?

— To jest, obrałbym... albo stan człowieka zwyczajnego a w takim razie poświęciłbym się cały jedynie życiu domowemu. — Kochałbym moją żonę, starałbym się wychować starannie moje dzieci — córki wydałbym za mąż uczciwie i wreszcie... syty lat i spokoju oczekiwałbym spokojnie rychło opatrzonego sakramentami świętemi, śmierć powoła do lepszego życia.... albo....

— Albo?...

— Albo też oddałbym się zupełnie sztuce — A w takim, razie dla niej opuściłbym wszystko— żonę, dzieci; gdybym je miał... Szlachetna żądza powiodłaby mnie w szerokie świata strony.— Duszą i rozumem walczyłbym dopóty dopóki, nie podbiłbym serca i rozumu na korzyść sztuki jedynie, a potém, potém... czoło poorane zmarszczkami i wybledzone pracą, lecz otoczone wawrzynami, obróciłbym dumnie do ludzi i zapytał „czy błąd towarzyski zatarły umysłowe zasługi i czy na wielkiej drodze szlachetnej żądzy ducha odzyskałem to, com stracił na wązkiej ścieżce zwyczajnego życia?... I sądzę!... że także spokojny, z uniesieniem nadziei oczekiwałbym przejścia w tajemniczą zaświatu krainę.

— To wszystko bardzo dobre — bardzo piękne — i... nieraz już przychodziła mi myśl uczynić podobne salto-mortale. — Lecz mój panie, ażeby rzucić się w świat, aby mieć czas zajmować się jedynie badaniem jego strony nadzmysłowéj... potrzeba mieć zaspokojone przynajmniej konieczne potrzeby fizycznego życia... słowem: potrzeba mieć pieniądze!

— Bardzo naturalnie, lecz sądzę że w ręku każdego człowieka leży możność otrzymania wszystkiego byleby tylko *chciał stanowczo.*

— Brawo! Więc dajmy, że ja chcę stanowczo dostać pieniędzy ażeby rzucić się w świat z powołaniem artysty. — Gdzież tedy jest genjusz dobrotliwy co zaspokoi me chęci?...

— Wola pańska jest właśnie tym genjuszem.

— Eh! To tylko teorja!

— Przeciwnie! Pan nawet jesteś na drodze zyskania ogromnych środków w jednéj chwili.

— A, na miłość Boską, wskażże mi tę drogę, kochany hrabio!

— Chętnie — lecz przyrzekniesz mi pierwéj że żadna propozycja z méj strony nie obrazi pana?...

— Daje panu słowo!

— Teraz, powiedz mi jeszcze — czy uważasz za słuszne by człowiek, idący do jednego wielkiego celu — używał wszystkich środków jakie mu los poda by celu tego dopiąć z ich pomocą?

— Naturalnie.—Złe czy dobre środki są godziwe byle cel usprawiedliwiał ich użycie.—Tak czynili wszyscy znakomici dworacy—ludzie, których imiona znakomitością usankcjonowały Dzieje.

— Mówisz pan jak człowiek wyższy — więc sądzę że łatwo porozumiemy się — i... przystępuję wprost do rzeczy.

— Słucham!

— Masz pan zamiar — opuścić twoją żonę— zrzec się jej zupełnie dla sztuki. —Wszakże tak?

— Tak... jest.

— Widziałeś pan zbiór obrazów pana Fühl?

— Cudowny! Lecz jakiż związek...

— Chwila jeszcze! Otóż ten zbiór ja panu daruję... wart jest... przeszło miljon. — Nadto wypłacę panu gotowizną pół miljona złotych i wyjednam ci w ciągu dni kikunastu pasport za granicę. — Czy podoba ci się to wszystko?

— Ależ to żarty!

— Honorem ręczę — mówię prawdę i od pana tylko zależy abym mu oddał to wszystko... jutro nawet.,.

— A więc z góry przyjmuję wszystkie warunki!

— Tem lepiéj. — Zresztą przy twoich wyobrażeniach będą one bardzo łatwe dla pana...

— Ale, o cóż idzie nakoniec?

— Oto, dopomożesz pan za pomocą podanych mu sposobów, aby żona pańska znajdowała się z kim innym przez godzinę jedną z tem przekonaniem że znajduje się z panem.

— Walery... osłupiał!...

Zdaje ci się to dziwném a może niepodobném, mówił dalej Alfons — gdy tymczasem jest to rzecz bardzo prosta: Najmiesz pan natychmiast odpowiedni lokal, każesz w sypialni twéj żony osłonić okna w ten sposób aby tam zupełnie ciemno było... gdy późna noc zapadnie będziesz się znajdował przy żonie — następnie, wyjdziesz niby na chwilę do przyległego pokoju gdzie oczekiwać będzie osoba dająca panu obrazy i pół miljona — ubrana zupełnie jak pan — pan zostaniesz w jéj miejscu a ona zajmie twoje przez godzinę... Oto wszystko... Wszakże mnie pojmujesz zupełnie?...

Walery przez chwilę pozostał w zupełnem osłupieniu. — Nie mógł zdać sobie sprawy z tego wszystkiego co słyszał — lecz jakiś wzniosły

pierwiastek co żyje w głębi serca każdego człowieka ocucił jego duszę z chwilowego letargu.— Cała nikczemność i przedajność podanych mu środków odrysowała się przed myślą jego — uczuł taką zniewagę jakby spoliczkowano jego lica. — Bo też istotnie hrabia okropnie spoliczkował oblicze jego honoru!

— I cóż mój panie? — rzekł zdziwiony Alfons .... Wszakże każdy środek godziwy co prowadzi do....

— Nikczemny! zawołał Walery — i szybko podniosłszy się uderzył w twarz Alfonsa.

Teraz hrabia osłupiał znowu.

— Krew twoją wypiję całą, nikczemny zwierzu! Zaciśniętym głosem mówił Walery, ciało twoje poszarpię na sztuki! Wyjdź!

— Zawołam o policję jeśli pan nie uspokoisz się, rzekł zimno Alfons.—Jutro rozprawim się— dzisiaj jesteś pijany.

Walery ścisnął pięści — uderzył się w czoło i wybiegł z loży.

. . . .

Ponieważ lożę hrabiego Alfonsa zasłaniały z góry, grube aksamitne firanki i wysunięte z poręczy światło-chrony — przeto scena odbywająca się między nim i Walerym uszła uwagi pu-

bliczności zajętéj operą — tylko w naprzeciw leżącéj loży, także osłoniętéj firankami — w chwili gdy Walery uderzył Alfonsa, dał się słyszyć nagły łoskot, jakby przewróconego krzesła. — Ciekawe spojrzenia zwróciły się w tę stronę i mimowoli odwróciły się jakby przerażone.

Wysoka, czarno przystrojona postać pana Fühla ukazała się z za firanek. — Żółte jego oczy iskrzyły się piekielnie śród bladéj, znużonéj twarzy... wytężony wzrok wlepił w lożę Alfonsa... W ręku ściskał konwulsyjnie kosztowną perspektywę.

. . . .

. . . .

W chwile potém — gdy jakieś wyniosłe soprano, publika osypała grzmotem oklasków... dwa powozy, prawie jednocześnie, opuściły przedsionek teatralny i skierowały się szybko ku hotelowi Angielskiemu.

blizności zajętej opery — tylko w naprzeciw ległej loży, także osłoniętej firankami — w chwili gdy Waldery uderzył Alfonsa, dał się słyszeć nagły łoskot, jakby przewróconego krzesła. — Ciekawe spojrzenia zwróciły się w tę stronę i mimo-woli odsłoniły się jakby przerażone.

Wysoka, czarno przystrojona postać pana Fabla ukazała się z za firanek. — Żółte jego oczy lśniły się piekielnie śród bladej, zmarszczonej twarzy... wytężony wzrok utkwił w lożę Alfonsa. W ręku ściskał konwulsyjnie kosztowną perspektywę.

W chwilę potem — gdy jakieś tajemnicze szeptanie publika zagłuszała gwarem oklasków, dwa powozy, prawie jednocześnie, opuściły przedsionek teatralny i skierowały się szybko ku hotelowi Angielskiemu.

Wspomnienie... równą ma trucizny siłę
. . . . wiesz, że byłem struty!
Co teraz powiem — będzie złe i zgniłe
I szkieletowe — jako ptak zepsuty,
Co z nieba zleciał wietrznym zwiany słupem,
I we mrowisku się przewala — trupem!..

C. N.

Gady! Jaszczurki i Żmije!
Wyleźcie z waszéj pieczary!!
Jad zatruty co was kryje!!!
Na płochość rzućcie Niewiary!!!!

Soter — Rozmiar Rozbicki!!!!!

Pan hrabia prosi pana do siebie, rzekł lokaj Anglik stanąwszy na progu gabinetu w którym Alfons przechadzał się szybko gniotąc w rękach kapelusz.

— Więc pan Fühl już wrócił z teatru?

— Przed kwadransem.

— Dobrze — idę natychmiast.

. , ...

Alfons zastał swojego protektora siedzącego w ogromném Wolterowskiém krześle.—Pan Fühl miał na sobie negliżowy kostjum z czarnego kaszmiru, podszyty pąsowym jedwabiem.—Wytwornie biała koszula podwyższała jeszcze żałobę tego stroju. — Krzesło na którém siedział wybite było purpurowym aksamitem ze złoco-

nemi frendzlami — Na głowie miał grecką czapkę. — Dziwacznie, szatańsko rysowała się czarna postać tego człowieka na krwawem tle poduszek któremi krzesło było obite.

Czekałem na ciebie — wyrzekł sucho, skoro Alfons ukazał się.

— Przebacz pan — lecz byłem zajęty rozważaniem planu jaki w jego interesie ułożyłem — a potem, sądziłem że pan hrabia znajdujesz się jeszcze na operze...

— Istotnie, opera godna widzenia! zwłaszcza też dla mnie... Ale mylisz się kochany panie, gdyż w saméj istocie... chciałem być widzem komedji a sądzę... że byłem świadkiem drammy...

— Jakto?

— Chcesz udawać zdziwionego... lecz pomnij że mimo korzystnego umeblowania twéj loży, dostrzegłem jak plebejuszowska ręka malarza znieważyła tak głośno twoje dystyngowane lica...

— Panie! zawołał z wściekłością Alfons—pan widziałeś?

— Widziałem... i cóż w tém tak przerażającego?... Czy dopiéro pierwszy raz w życiu dostałeś w twarz?

— Proszę nie przyprowadzać mnie do ostateczności — gdyż nie ręczę za nic!

— Nic nie szkodzi — za to ja ręczę za wszystko. — Moi ludzie są tuż obok a dzwonek trzymam w ręku i każę im spoliczkować cię powtórnie jeżeli dopuścisz się jakiej nieprzyzwoitości — więc zastanów się mój drogi... a przedewszystkiem uspokój się. — Dla tak rozsądnego i oświeconego człowieka, jakim pan jesteś, podobny wypadek jest bagatelą. — Kto zrywa róże powinien wiedzieć że tam są i kolce... pojmujesz?...

— Masz pan słuszność. — Człowiek z mojemi wyobrażeniami i w mojej *pozycji* powinien lekceważyć podobne drobnostki, lecz w takim tylko wypadku gdy nie ma świadka otrzymanej zniewagi — dla tego też, byłem spokojny zupełnie gdyż sądziłem że nikt nie wie co zaszło między mną i tym malarzem... lecz teraz, przysięgam! Zemsta moja będzie okropna! Przysięgam...

— Co do zemsty — nie mam nic przeciwko temu byleby tylko ona nie wstrzymywała biegu moich zamiarów względem Marji....

— O, bynajmniej... właśnie teraz działać będę z podwójnym zapałem!

— Jakże daleko zaszedłeś? i czy za dni dwanaście dotrzymasz twego zobowiązania?...

— Nie wiem...

— Zuchwały! Ty śmiesz żartować sobie ze mnie?

— Nie panie hrabio, lecz po dzisiejszym wypadku sądzę że potrzeba mi będzie dłuższego czasu... i dla tego proszę pana jeszcze o dwadzieścia dni zwłoki.

— Ani jednéj godziny! Ani chwili jednéj! Głupcze! Idź do konającego z pragnienia... podawaj mu czarę napełnioną orzeźwiającym napojem... a gdy ją dotknie chciwemi usty — proś go wtedy aby wstrzymał się przez chwilę... Ależ dla niego ta chwila stać się może ostatnią, mój panie! Powtarzam...nie chcę zwłoki!

— W takim razie, zmuszony będę zrzec się wszystkiego.

— W proch zetrę ciebie niewolniku! jeżeli poważysz się uczynić to....

— Ależ panie... ja pragnąłbym również jak pan... lecz niepodobieństwo!... Cierpliwości... a będziemy obadwa zadowolnieni... przysięgam!

Pan Fühl nic nie odpowiedział — lecz muskuły jego twarzy drżały konwulsyjnie... po chwili fizjonomja jego przybrała okrutny wyraz i urągającym, chrapowatym głosem jakby sam do siebie, mówił: . . . .

. . . . , ...
. . . . . . Dwadzieścia lat temu — jak krwawe promienie zachodzącego słońca błyszczały na złocistych kopułach meczetów sułtańskiego grodu — dwadzieścia lat temu, jak w konających jego odbłyskach kąpały się złociste pomarańcz czoła wychylone z za ciemno-zielonych gałęzi.... I dźwięczące drżenia arf odalisek brzmiały roskosznie w haremach wyznawców koranu.... a znakomity potomek książąt Wybranego ludu Jussuff ben Salomon żył śród bałwochwalców, choć serce miał czyste.... a złotem i djamentami napełnione skrzynie, odmykały się co rok by przyjąć nowe skarby, które przywoziły białe żagle okrętów jego ojca, co okrywały ocean jako stado łabędzi tuczonych złotem! . . . .

. . . . . I dziś, jak przed dwudziestą laty, toż samo słońce oświeca niewiernych świątynie... lecz dzisiaj tułaczy potomek książąt wschodniego ludu — schylony wiekiem, skażony brudem innych narodów okrył ciało w ich szaty i w ich świątyniach słucha szydersko ich bałwochwalczych obrzędów... I dziś skrzynie jego napełnione złotem... lecz niema już białych łabędzi oceanu co zsypywały w nie skarby wydarte nie-

wiernym, bo święta głowa jego ojca w grobie spoczywa!... Lecz dawniej krew młodości płynęła w żyłach książęcia a krew mieszkańca wschodu nie jest krwią gnuśnego Europejczyka — bo serce dzieci ognistego nieba bije w każdym nerwie ich ciała!

Ojciec Jussufa oddał mu skarby nie przeliczone i tłum niewolników i pałac marmurowy z pysznym ogrodem. Tam alabastrowe fontanny woniejącym biły strumieniem. — Tam... w złocistych galerjach pałacu tysiąc odalisek cudownej piękności jako kwiaty czarowne oczekiwały, rychło rosa miłości operli woniejące i spragnione ich liście — lecz Jussuf ben Salomon jeszcze we wnętrznościach matki, dotknięty był ręką srogiego Abadona * i urodził się we szpetności okropnej. — To też oblicza dziewic jego haremu bladły z trwogi i obrzydzenia skoro ich władca przybliżał się do nich... lecz ramiona ich otwierały się dla niego roskosznie a usta ich całowały szpetne jego oblicze... bo Jussuf był

* Abadon według Jana ś. znaczy w języku Hebrajskim Anioła trwogi i przepaści przewodniczącego gromadzie istot zesłanych na świat by udręczać ludzi. — Abadon po grecku nazywany był *Apollyon* po łacinie *Exterminans*.

srogi! i kazał pokrwawić ciała kilku niewolnic, co wstrętu swego ukryć nie chciały.

. . . .

. . . . . . I było tak, że ojciec Jussufa zakupił od Maurytanów sto dziewic, Sto kwiatów, zerwanych na Egejskich falach! A śród tego ogrodu roskoszy była Greczynka z wyspy Chyos porwana...

Widziałem posąg Knidyjskiej bogini i świetną postać Praxytelesowéj Djanny... ale, najbielszy marmur Cybeliński stawał się mizerną gliną przy białém ciele Greczynki! — Miękkie jéj włosy uplecione w warkocze jako dwa czarne, połyskujące węże spływały do koturn co okrywały cudowne kształty jéj nóg drobnych... I nigdy słońce nie oświecało bielszego czoła! I nigdy we snach wyobraźni nie patrzyły czystsze i słodsze czarnych oczu spojrzenia!... Jéj usta?... Koral zerwany z wieńca królowéj Perij, namaszczony woniami całéj Arabji!.. Jéj piersi?.. Dwie Sarońskie róże porzucone na niwie usłanej w liljowe liście!... I... nie masz w świecie piękności takiej!

. . . . Serce Jussufa zapaliło się żądzą namiętności silnéj i potężnéj jakiéj jeszcze nie znało dotąd... zapragnął być kochanym od swojéj niewolnicy, on władca! I ze wspaniałością ksią-

żęcia ofiarował jéj serce swoje... lecz Greczynka zostawiła kochanka w ojczyźnie i z dumą odrzuciła ofiary Jussufa a pyszny książe nie pokrwawił jéj ciała... tylko błagał ze łzami dziecka o miłość swoją niewolnicę! Lecz uporna, odpychała go ze wstrętem... wtedy Jussuf wyrzekł się nadziei pozyskania serca Greczynki — lecz jako władca przemożny posiadł jéj ciało— A choć w chwili gdy zmysły jego napawały się wonią jéj piersi, słyszał z ust dumnéj branki urągania i wzgardy wyrazy, przecież nie przebił jéj serca ostrym kindżałem bo Jussuf kochał jeszcze swoją niewolnicę! I dwanaście razy księżyc odnowił złoconą tarcz swoję, a w ciągu tego czasu ojciec Jussufa umarł i Greczynka wydała na świat córkę...

Wtedy książę, na kolanach, zgięty w kornéj niewolnika postawie on, władca! Trzymając dziecię na ręku błagał nieugiętą niewolnicę by oddała mu serce swoje. — Gotów na jéj skinienie zamieszkać w jéj ojczyźnie, przyjąć wiarę jéj ziomków... okryć srebrem i djamentami wierzchołki jéj gór rodzinnych! A ona... ze wzgardą i przekleństwem odepchnęła go od siebie i dziecię swych wnętrzności odepchnęła także... Niewolnica! nazwała siebie wolną Stradjotką a swego

pana niewiernym sługą szatana! I wtedy szatan upomniał się za swoim pomazańcem — Jussuf własnemi rękami udusił Greczynkę, poszarpał jéj łono ze śniegu i chciwemi wargami pił jéj krew purpurową! . . . .
. . . .
. . . . . I odtąd Jussuf stał się szatanem dla ziemi. — Skarby swoje rozsypywał hojną dłonią by zbierać za nie krew i uciski!... I długie przeciekły lata a dziecię jego dorosło... i Zelja stała się obrazem swéj matki... i książę zażądał od niéj miłości...

— Okropność, okropność! Zawołał Alfons, cofając się ze zgrozą... Zelja! twoja córka? I ty....

— Przebiłem jéj serce sztyletem—rzekł pan Fühl — podnosząc rękę do góry — a krew jéj jak krew jéj matki piły usta moje... Niewolniku! Pomnij, że krew Marji popłynie po moich wargach... jéj białe ciało zblednie w cichém śmierci objęciu jeżeli nie odda serca Jussufowi... i ty sam zginiesz jak robak przygnieciony głazem! Ty niewolniku!....

Okropne wstrząśnienie ciała przerwało mowę Fühla—konwulsyjne targania wykrzywiły szpetne jego rysy — sine wargi parskały kroplami

piany — upadł na ziemię rzucany paroxyzmem choroby.

Walery wybiegłszy z loży Alfonsa rozmarzony winem i obłąkany świeżo odbytą sceną w której, cała mieszanina cudowności i poniżenia plątała się bezładnie, zbiegł szybko ze schodów teatralnych i wyszedł na ulicę. — Gęsto pruszący deszcz jesienny powiększał ciemność wieczoru. — Walery stanął niepewny gdyż istotnie nie wiedział dokąd ma udać się w tej chwili... potrzebował zebrać rozpierzchłe zmysły — zdjął kapelusz i czuł z pewnem zadowolnieniem jak zimne krople deszczu oblewały mu twarz i głowę.

Słaby ten umysł czuł się poniżonym okropnie w swej moralnej godności — i ten wstyd który własną dłonią ściągnął na siebie, krwią zalewał mu serce — bo umysł twardy i nieugięty charakter, choć z przykrością, dźwignie jednak każdy ciężar na barkach swej woli. — Poniżenie spotka ze wstrętem, lecz nie straci odwagi bo liczy na siły własne — liczy na przyszłość... a choć może rachuba zawiedzie jego nadzieje, to dopiero w chwili utraty tej nadziei podda się ciężarowi rozpaczy. — Lecz póki siła młodości promieni się

w jego duszy póty odwaga nie odbiega myśli jego... i to wymuszone męstwo zdoła swą potęgą stłumić najboleśniejsze serca jęki! Choć cierpienie wybledzi lica, choć zgryzota pomarszczy czoło i zatłoczy piersi żelazną dłonią... to przecież świat nie pozna że robak zgryzoty szarpie jego łono... że piersiom jego brakuje oddechu!...

Przez jakiś czas Walery pozostał na miejscu, mimo zwiększającego się deszczu, nakoniec zwrócił się nagle i podniósł głowę. — Z miejsca na którém znajdował się obecnie, widać było okna jego mieszkania — W jedném, łagodne światło przenikało przez firanki — Zdawało się Waleremu że promienie tego światła wyciągają ku niemu błyszczące swoje pręgi, jakby zachęcały go wejść w tę atmosfere łagodnego światła i słodkiego spokoju. — Okno to wychodziło z pokoju Marji.

Malarz wahał się przez chwilę — postąpił już kika kroków ku domowi — lecz nagle zmieniając zamiar, jakby uderzony nową myślą, szybko pobiegł w kierunku ulicy Senatorskiej i wsiadłszy w spotkaną dorożkę zawołał:

— „Na Elektoralną!“

. . . .

Myśli — są jak zera — same przez się nic nie znaczą — dopóki na ich czele nie postawisz *jedności.*

Moje medytacje przy fajce.

Co jednemu zdaje się głupiem, to drugi za przedmiot części obiera — obadwa mają racje przed obliczem Absolutu.

z tychże Medytacji.

A chociaż go świat żółci przepoi kielichem
On na świat nigdy słowem nie rzuci przekleństwa;
Bóle serca pod zimnym ukryje uśmiechem
I ze krzyża katowni śle błogosławieństwa!

Z.

Władysław siedział samotny przy stoliku zarzuconym bezładnie stosami papierów i książek — jedna tylko świeca osadzona w pogiętym świeczniku ojaśniała niedokładnie skromne jego mieszkanie.

Mieszkanie to składa się z niewielkiego pokoiku i maleńkiej alkowy — w pierwszym — kilka wypłetanych krzeseł — chwiejąca się kanapa i biórko składają całe umeblowanie — w alkowie stało tylko łóżko i kuferek.

. . . .

Na stole przed Władsyławem leżała otwarta książka.

. . . Czytał Fausta.

. . . .

. . Cześć Tobie, szperaczu prawdy! (wyrzekł po chwili zamykając książkę) jeżeliś marzyciel?

to wielki! bo z takich marzeń składa się cała budowa umysłowego bytu ludzkości..... a jednak, twoje wyniosłe rojenia przebrzmiewają nie wcielone! Bo takiej olbrzymiej myśli, olbrzymiego potrzeba ciała... sympatji, wiary człowieczeństwa całego, a nie garstki ludzi — Dla nich niepotrzebne trudy twoje... chyba, że budowa prawdy jest jak drabina bez szczebli i każdy z jej robotników *dopracowywa się stania się jednym szczeblem.*

Dziwna, niepojęta naturo, olbrzymia matko tworów wykarmionych twém powietrzem, twym chlebem! Czemuż nie uposażyłaś jednako wszystkich twoich dzieci? Więc niesprawiedliwaś naturo? — Nie, nie! Czuję prawdę i harmonję w twych działaniach olbrzymich, tylko brak mi właściwego ciała, by zdołało urobić, ostateczne, prawdziwe kształty twoich przymiotów potężna matko nasza! — Przeniesież że mnie w takie ciało?.... tu... czy na innym planecie?.... tyle światów błyszczy nad głową moją a żadnego z nich nie znam... choć, po szlachetnej żądzy co jako krew po ciele krąży po myśli mojéj czuję! że te światy zawładnę kiedyś! Czy, kształcący się duch mój na jednym tylko planecie, *odradzany aż odrodzony* w duchową

istotę roztęży promienie swéj wiedzy i ojmie niemi wszech-przestrzenie twoje naturo?... Czy jako podróżnik wieczysty z gwiazdy przelatując na gwiazdę, na każdéj w właściwe, subtelniejsze przedzierzgając się formy ukształci się w wyższą istotę? nie wiem! Lecz czyliż i każdy proszek i ziele i zwierzę kształcić się będą wraz ze mną? jeśli tak, to dłuższa im droga walki i tajemnicy... lecz, nie zginie nic co *Żyje* w tobie naturo! Bo tak chce harmonja twéj istoty, tak ręczy prawość warunków twego nieskończonego bytu — O, życie! Wielka zagadko... *życie*, jakże piękne jesteś, jeźli stoisz u źródła wiary a oczy twoje dojrzeć już mogą to źródło ożywcze! — Głupiec, płacze na swój byt mizerny — entuzjasta stwarza sobie nieszczęście, spotwarzając cię naturo że ono zesłaniem twojéj fatalnéj ręki... lecz, w twoich granicach bezbrzeżnych wszystko wedle wartości istnieje — tyle dobra i zła zawiera się w każdém stworzeniu ile mu właściwie należy, ile siły jego zapracowały same.... Cześć tobie, naturo! Kto cię pojął jak prawdę, jak harmonję, jak olbrzymią syntezę duchów, ten wybranym twym synem! — I nie masz tajemnic, w szczerém sercu twojém, dla oka synów two-

ich — bo jak ty ich, tak oni ciebie ogarniają całą!

. . . .

I ciebie pojmuję Wielki, Jedyny! gdyś wyrzekł „a ujrzą syna Bożego przychodzącego na świat w wielkiéj chwale i majestacie“ Krzyż na Golgocie nie był ostatnim dla ciebie krzyżem! bo chociaż umarłeś na nim ogarniający glób jeden, to odrodzisz się jeszcze solidarnym za całą naturę — ogarniającym wszystkie światy. — Duch twój wybrany nie ukształca się już w tajemniczéj zaświatu krainie lecz rozpryśnięty na całą wszech-przestrzeń w któréj ma zakrólować, ukształca twory wierzące, lub mające wierzyć by zjednoczyć je z sobą... to też każda cząstka twoja jeszcze na krzyżu cierpi, i cierpieć będzie aż do chwili przyjścia Twego *w wielkiéj chwale i majestacie*! Wesprzyj mnie Synu Boży! umorz we mnie chęci a odżyw obowiązek — bym nie działał jako chcę, lecz jakom powinien!

.....Czemuż naturo, gdy naznaczyłaś *miłość* głównym środkiem zbawienia, czemuż nie wyziębiłaś serca na osobiste jego szczęście?... bo uczucie, jakie zapełnia me serce dla pojedynczéj istoty przeciwia się działaniom natchnionym przez wielką miłość dla braci, która nakazuje

wyrzec się samego siebie lecz, gdzież jest mężny coby zdołał z przekonaniem, odepchnąć szczęście, gdy ono łagodne swoje oblicze chyli w jego objęcia?... Nie ma takiego męstwa!.... Każde serce musiało kochać jednostkę sympatyczną, musiało kochać już — lub kochać będzie raz chociaż we właściwym perjodzie odradzanego istnienia — i taki tylko mocen przezwyciężyć uczucie sympatji serdecznéj, kto już jéj czarę wychylił... taki tylko zdoła zaprzeć się siebie dla *idei* dla prawdy ogólnéj.

.....Czyż serce moje już kochało kiedy? Tę niepewność jakim sposobem roztrzygnąć? Czyż serce zdoła odpowiedzieć na to? Mamże złorzeczyć zasłonie niepamięci, którą rzuciła ręka Stwórcy na przeszłość moją? lecz, pamięć o niéj możeby się stała męczarnią, szaleństwem! A jeżeli to zapomnienie jest dobrodziejstwem? jakże ośmielić się powstać przeciw woli Najwyższéj? Nakoniec, świadomość podobna narzucałaby konieczność jakąś na wolę moją.

.....Ho, ho! wieszczu Germański! Jeżeli twój cień szanowny patrzy na mnie z wysoka... śmiejesz się pewnie z młodego marzyciela — nic złego mości ministrze! Władzio, zawsze będzie Władziem i... w téj chwili chciałby tylko dowie-

dzieć się czy... w twoim paradnym mundurze przechadzasz się po Elizejskich polach..... Adieu eterowa rojeń kraino... żegnaj mi piękna! Wracam w sferę rzeczywistości... a ponieważ... trochę głodny jestem... wkraczam przeto w dziedzinę... sera, bułki... i masła!

I Władysław otworzył szafę, gdzie na pułce kawałek sera, bułka i masło przygotowane leżały i najprozaiczniej zajadał, przechadzając się po skrzypiącej podłodze.

.....Hm, jednakże materjalizm ma swoje prawa, myślił, są, co zaprzeczają mu bytu, są którzy twierdzą że wszystko jest duchem... więc, i ten ser leży w sferze ducha? Dobrze! posilmy się tym duchem, *zjem sobie jeszcze kawałek ducha.* Jednakże, na honor! pocieszne jest moje położenie, ta biedna Emilja, poczciwe dziewczynisko, zakochała się we mnie idealnie... Idealnie! Jednakże... żal mi dziewczyny! Gdyby Władzio mógł płakać!... płakałby nad nią serdecznie... Szkoda! tyle uczucia tyle duszy, i tyle wdzięku!... I czemuż ja waham się posiąść to wszystko?... bo, stałoby się dla mnie złem niepowetowaném... No, dobrze! to znowu... czemu nie zerwę stosunków z tą kobietą... czemu jakaś fatalna siła rwie do niej moją isto-

tę?... Ciekawym, jakby też Virej odpowiedział na to?... Nazwałby to wszystko wynikiem obfitego nagromadzenia się soków żywotnych w pacierzowej kości... Zuch stary! Może ma i rację... bo to, bądź co bądź ale inna rzecz człowiek-duch a inna człowiek-samiec — to stosunek ale nie jedność!... O!... jestem dziś nader filozoficzny!

W tém, — nagle, zastukano we drzwi gwałtownie.

— Oho! ktoś nadchodzi... A kto tam?

— Władysławie!

— Ja...

— Otwórz!

— A, to ty Walery, Zaraz!

. . . .

Walery, wpadł do stancji zmoczony, blady, z rozczochranemi włosami... cały w nieładzie — i rzucił się na kanapę.

— Co u djabła za osobliwszą minę przybrałeś? wpadasz jak... jak... brak mi porównania... dość, że wpadasz dramatycznie!

— Władysławie—Jestem w rozpaczy!

— Do licha! Chcesz sera?

— Na Boga! nie żartuj powiadam ci że..... okropność!

— Lubię okropność!... Może wolisz fajkę lub cygaro?

— Słuchaj, zawołał gwałtownie Walery, jeśli nie przestaniesz żartować... wyjdę, i.....

— I położysz się spać... zgadłem? No, zdaje mi się mój dobry! że jesteś cokolwiek pijany— ja znam się na fizjologji ciała.

— Oh, nie, nie! ale okropność! Gdybyś mógł widzieć..... wypadek, fatalność!..... Moja żona!

— Ba! twoja żona?... Oh! może szukasz akuszerki?... mieszka tu obok mnie na kurytarzu... Weź panią Münchensag, weź, zdatna kobieta!

— Obrażasz mnie Władysławie... na miłość Boską co to jest?... przychodzę do ciebie jak do przyjaciela... chcę prosić o radę, o ratunek w smutném mojém położeniu... a ty... szydzisz ciągle... Czyś oszalał!

— Więc to na serjo?... No powiedzże mi co się stało?... mów, mów, słucham cię stojąc..... w trzeciéj pozycji... patrz tylko.

— Żegnam pana!

— No, czekajże! Przepraszam cię serdecznie ale widzisz, miewam czasami przystępy..... no,

nie gniewaj się na Władzia, znajdziem radę na twoje wypadki... ale... jakżeś blady!... Czy cierpisz?

— Okropnie! Walery zakrył twarz chustką i zachwiał się.

— Nie bądźże dzieckiem, zawołał Władysław i troskliwie posadził Walerego. — Odwagi mój bracie! Tacy ludzie jak my powinni mieć zawsze odwagę.

— Słusznie mówisz — lecz tyle ciosów mnie uderzyło.

— Mówże na Boga! co ci jest?

— Wyobraź sobie..... słyszałeś zapewnie o przybyciu tych dwóch cudzoziemców do naszego miasta — tych bogaczów bajecznych?.....

— Ba! przecież jednego z nich miałem zaszczyt poznać, a raczéj widzieć u Emilji... drugi szkaradny jak djabeł! Ale cóż oni mają wspólnego z tobą?

— Zobaczysz — w krótce po moim ślubie..... przybywa jeden z nich — przedstawia się jako hrabia Alfons de.....

— Po cóż przyszedł?

— Powiada, że słysząc o moim znakomitym talencie, przychodzi prosić abym zrobił jego portret i ofiarował mi sam cenę królewską!

— No, to nic złego.

— Następnie, podczas posiedzeń naszych nad tym nieszczęsnym portretem stara się zaprzyjaźnić ze mną — zabiera mnie z sobą — wozi codziennie tak, że zaledwie późno w nocy mogę wrócić do domu... Nakoniec wczoraj.

...Tu Walery opowiedział Władysławowi wczorajszą przygodę w teatrze i zakończył: widzisz więc, że jestem w rozpaczy — teraz, co czynić? jak zmyć podobną hańbę — powiedz mi na Boga bo, oszaleję!

Władysław wysłuchawszy do końca — odstąpił kilka kroków, i patrzył na Walerego z jakiemś smutnem politowaniem, w którem przebijał się lekki odcień wzgardy — Potem — zmieniając wyraz twarzy zapytał spokojnie.

Chcesz cygaro?

— Czy znowu żartujesz?

— Nie — tylko sądzę że ty jesteś w usposobieniu dziwacznem i chcę stosować się do ciebie.

— Jakto?

— Ależ, na miłosierdzie Boskie, mój dobrodzieju, gdzież ta zniewaga... gdzie powód rospaczy?

— Jakto? więc ty nie poczytujesz za śmier-

telną obrazę podobnych rzeczy? chyba żartujesz.

— Wyborny jesteś!... A wiesz, że doskonały z ciebie, słuchaj... czy twoja żona wiedziała o zamiarach tego pana?

— Nie.

— Więc nie wié o niczém — nikt nie wie, prócz ciebie i mnie, który także nie powinienem był dowiedzieć się o tém... ale to mniejsza! Otóż więc, ten pan Alfons proponuje ci *na własne twoje żądanie i ufając twewu słowu że nieobrazisz się niczém*, proponuje ci... rzecz, istotnie obrażającą... lecz to tylko zamiar... ty znieważasz go tak, jak tylko najokropniéj znieważyć może człowiek człowieka — uderzasz go w twarz i... wychodzisz rozpacznie... czego?... Czy honor twojéj żony ucierpiał co na tém? czy pokój domowy stracony? Wreszcie, nic się nie stało, prócz, że ten pan jako bardziéj skrzywdzony jeśli tylko nie jest ostatnim nędznikiem przyjdzie żądać od ciebie zadosyć uczynienia—

— Ależ ten jego zamiar który tak bezczelnie śmiał mi podawać — poprzedzony ofiarami tak nęcącemi.

— Słuchaj Walery, przerwał gniewnie Władysław — przyznaj się raczéj że całym powo-

dem twego oburzenia jest że hrabia Alfons podał ci warunki zbyt trudne do zyskania tak znakomitéj summy... bo ty chcesz posiąść ten majątek... ja to widzę.

— Ba! sądzę że każdy chciałby posiadać majątek.

— Wybacz, lecz nie kosztem poniżenia.

— Jednakże, przypomnij sobie co mówiłeś do mnie w dzień mego ślubu, że nie masz za złe artyście który porzuci rodzinę, wszystko! jeśli to dla dobra sztuki będzie potrzebne.

— Prawda, mówiłem — ale to inaczéj się postępuje — taki człowiek powinien otwarcie, z całą szczerością serca, wyznać żonie że niekocha jéj — że ją zwalnia od wszelkich zobowiązań... nakoniec, powinien rozwieść się prawnie, i zapewniwszy jéj utrzymanie, jeżeli to i, o ile to uczynić może... dopiero wejść na swoją drogę — Ale, przedać honor swój i kobiety! I kosztem téj nikczemnej frymarki zapewnić sobie świetne położenie, rozumując że to dla dobra sztuki potrzebne... Nigdy!..... Czy sądzisz mój łaskawco, że serce skalane brudem może ukochać szlachetną i czystą sztukę? spytaj się własnego sumienia a odpowie ci na to — zresztą, i w pierwszym nawet razie, postępu-

jąc z całą szczerością, trzeba jeszcze mieć *sumienne przekonanie* o prawości swego postępku—trzeba mieć pewność zupełną sił swego talentu... a ty... przebacz mi Walery, ale nie masz za sobą ani sumienia ani przekonania.

— Władysławie!

— Nie obrażaj się, przyszedłeś do mnie jak do przyjaciela i prosisz o radę—dla tego mówię szczerze—w przeciwnym razie przez delikatność nie wspomniałbym ci nawet słówka o tym przedmiocie.

— Daruj mi! Ale powiadasz że nie mam słuszności... przecież, powiem ci, że od czasu jak wszedłem w ten związek z Marją... czuję, jak co chwila stygnie dawny mój zapał! Ja... gnuśnieję i zniechęcam się coraz bardziéj, z dniem każdym, z każdą godziną!.....

— I, czy sądzisz że powodem tego jest twoje małżeństwo?... bardzo się mylisz mój dobrodzieju! Jedyną przyczyną złego jesteś ty sam, a dla czego? bo brak ci mój panie jednego pewnego punktu—jednego stanowiska, z którego powinieneś oceniać wszystko—bo brak ci religii! Wierz mi dopóki człowiek żyje *śród okoliczności* a nie *nad niemi*, dopóki patrzy

w świat ze świata a nie *w świat z nad świata*... dopóty wiecznie mylić się będzie — Oj dobrodzieju! Daj ty pokój tym wszystkim wybrykom, bo serjo ci powiadam że przedłużysz tym sposobem i tak jeszcze odległy czas syntetycznego ukształcenia twojego ducha.

— Właśnie też, powinienem zniszczyć to wszystko, co wstrzymuje we mnie rozwój czystéj duchowości — ten materjalizm, tę cielesność przekletą! co ściga mnie krok za krokiem i dopomina się praw swoich.

— Widzisz, jak mylny masz sąd o rzeczach. Najprzód — wiedz o tém że bierzesz *system* za *istotę* — bo, nie ma żadnéj materji, żadnego przez się ciała *istotnie* — bo *istotnie*, *egzystuje* tylko jeden duch.

— Nie rozumiem!

— Właśnie dla tego źle postępujesz ale, na szczęście jesteś malarzem — będę więc w stanie, wytłumaczyć ci to wszystko.

— Ciekawa rzecz!

— Weź dzieło znakomitego mistrza — np: Madonnę Rafaela — potém stań przed tym obrazem w towarzystwie głupca nie mającego estetycznych pojęc.

— No!

— Powiedz, co ty zobaczysz w tém dziele?

— Naturalnie — piękność.

— Jaką? czy cielesną?

— To rzecz podrzędna — zobaczę piękność psychiczną — wyraz fizjonomji ducha, napełniający wszystkie formy tej postaci — zobaczę, myśl, jaką nadał mistrz tej fizjonomji.

— Czyli, jedném słowem, zobaczysz ducha i zrozumiesz go — a tenże drugi widz zmysłowy, głupiec, cóż zobaczy?... Oto kolor, ciało i nic więcéj — Skądże ta różnica poglądów, i który z nich prawdziwy? Naturalnie twój bo ty poglądasz ze znawstwem — poglądasz duchem i widzisz ducha a on... pogląda także duchem ale nie wyzwolonym, nie odrodzonym jeszcze w tym stopniu — więc też nie dojrzy wyrazu ducha... a raczéj dojrzy go w tym stopniu w jakim jego własny egzystuje — i to właśnie dowodzi *jedności ducha* — Tylko... teorja, system, nazwie to dualizmem — powie, że jeden widział ducha drugi ciało — nie prawda! Obadwa widzieli ducha tylko każdy względnie.

— Dobrze, więc ponieważ ja zobaczyłem ducha czystego w tém dziele przeto sam jestem czystym duchem.

— Teraz, widzisz ducha, o ile sam nim jesteś — bo każdy wie tyle i ma tyle ile sam wart, ile zapracował—Staraj się tak postępować w życiu by skrócić sobie przedział między sobą i synem Bożym — Szanuj jego prawa, bo one są prawami natury — prawami Boga — spełniaj jego natchnienia a będziesz postępował prawo — w każdej wątpliwości radź się *serca* ale pojętego wysoko — a nigdy nie zbłądzisz bo ono zawsze właściwą wskaże ci drogę — Oto moja rada dla ciebie.

— Dobranoc Władysławie!

. . . .

Przebudzony dorożkarz, który oczekiwał na Walerego przed bramą, otworzył drzwiczki.

— Jedź sobie! Pójdę pieszo — oto masz!

. . . .

A to już trzeba mieć takie szczęście — mówił do siebie Walery, idąc zwolna; przychodzę do Władysława, myśląc że to człowiek oświecony — że mi da jakąś radę odpowiednią swej młodości i energij... a ten prawi mi kazanie i to nie lada! Synteza ducha — odrodzenie ciała — Djabli mi z ducha, kiedy ciału potrzeb brakuje! Nakoniec duch, czy ciało wszystko mi jedno, nie idzie tu o nazwę przedmiotu lecz oto czego

przedmiot potrzebuje aby był zadowolniony — Zdaje mi się że i w tem jest logika, zresztą, jestem przekonany że to tylko chęć popisania się z jakiemiś nowemi wyobrażeniami spowodowała go do tak poważnych uwag, gdybym go zastał w innem usposobieniu — byłby mi kazał brać pieniądze i oświadczył gotowość towarzyszenia mi w podróży — A może też rozszalał się w swojej excentrycznej Emilji i... zgłupiał! Bo to miłość zwykle podobne sprawia skutki. Prawda, ja sam czuję, że sama istota tej sprawy jest..... niska, zła... nawet, ponieważ mówię sam do siebie to... podła! — Lecz czyliż na świecie znaczy co *istota*? *Pozory* są wszystkiem a tu? pozory są dobre — bo jeśli przypuszczam, jeśli zgodzę się wykonać plan Alfonsa, to nawet sama Marja nie będzie wiedzieć o niczem, a wszakże, niewiadomość grzechu nie czyni — Cha, Cha, Cha! Szkoda żem Władysławowi nie przytoczył tego axiomatu na zbicie jego głęboko-cnotliwych rozumowań — Jednakże... jak też to człowiek zmienia się ciągle! Ja sam — dawniej, nawet bardzo niedawno, byłem tak surowym stróżem praw moralności — kochałem cnotę, wierzyłem w uczucia... i cóż zyskałem?.. nic! Gorzej mi dziś jak było wczoraj — a jednak, nie mogę pozbyć

się jeszcze tych zarodów prawości fałszywéj — która jest tylko dumą! Bo, uderzyłem Alfonsa no, nie jestże to szaleństwem znieważać człowieka za to że mi ofiarował bogactwa i przyszłość najświetniejszą? Zdaje mi się nawet, że w tym chaosie teorji z którego składa się świat umysłowy, wiecznie tajemniczy — równie dobre są zdania Alfonsa jak Władysława — tylko Władysław ma słuszność dla Władysława — a Alfons dla Alfonsa — wszakże on mówił „każdy środek dobry co prowadzi do wielkiego celu“ i znowu“ rzuciłbym dla dopięcia tego celu wszystko! A potém, potém, obróciłbym zorane trudem lecz otoczone wawrzynami czoło do ludzi i zapytał dumnie: — czy odzyskałem na wielkim gościńcu życia to com stracił na wązkiej ścieżce towarzyskiego ruchu? Wprawdzie, poeta mówi, że dusza raz skalana nie odnajdzie się aniołem!... lecz on także mówi: któż zachwycon zdarzeń ściekiem — nie popełnił nigdy winy? — chyba tylko ten jedyny, co był Bogiem i człowiekiem. — Ja naprzykład — samowolnie straciłem majątek który mi los pchał w ręce — bo naturalnie — po tém co zaszło, Alfons nie zechce widzieć mnie inaczéj jak z bronią w ręku, w przyzwoitéj odległości i ja... który postąpiłem

w tedy tak jak sądziłem że postąpić należało... teraz, prawie żałuję tego — Muszę przyznać że fatalnie stanąłem! Praca — nudzi mnie, bo i czegóż dopracować się mogę tu - Sławy? Próżne marzenia! Pieniędzy?,.. Utopja! Wkrótce, nie będę mógł utrzymać domu w Warszawie a wtedy... ładne widoki! Moja cnotliwa żona rzuci się w moje objęcia i powie sentymentalnym głosem: „Walery! Jedźmy na łono wsi — tam gdzie serca nasze najpierwéj bić zaczęły! — Ja naturalnie — cóż uczynię? Oto powiem — jak król Franciszek I po bitwie pod Pawją, „wszystko stracone prócz honoru!“ Potém rozrzewnię się, sprzedam wszystko — daléj siadamy w bryczkę Pragską... moja żona rospina parasolik... ja... odwijam kołnierz od płaszcza i... jedziem tam, *gdzie nam serca bić zaczęły*! Tam... szczęśliwi mieszkańcy sioła! Będziem mogli pożywać owoce — pić świéże mléko... Prócz tego... maślanka, pogodne niebo — zielone drzewa i... czyste trawiące powietrze... To życie, aż miło! W kieszeniach pustki — ale za to pełna gęba niebieskich migdałów!... Och, to jednakże jest smutne! Co powiedzą na to znajomi? Powiedzą że nie miałem i cienia talentu że byłem bazgraczem... i zapomną łaskawie — O, ja jestem

pewny, że nawet Władysław dziś już uważa mnie za człowieka nie mającego nawet pojęcia o sztuce... To mnie do rozpaczy przywodzi... bo, czyliż istotnie nie mam talentu? Czyli istotnie jestem tylko zwyczajnym człowiekiem z głupią pretensją do artyzmu? Nie—nie! Gdzież jesteście moje marzenia wysokie! Moje niebo, świecące gwiazdami... — Moje bóstwo młodości... z laurem na marmurowem czole i pieniącą czarą życia w dłoni! O, niech przepadnie wszystko! Pójdę — ubogi, samotny jak tułacz — pójdę... i zbrudzone śród ludzi serce przycisnę do wiecznie świeżego łona natury a odżyje przez nią wysoka dusza moja! I ta czereda głupców, ta wymarzona, ludzkość zobaczy że to czoło do wawrzynów stworzone! Ale, rzekł po chwili z gorzką ironią, wawrzyn doskonale odbija przy aksamitnej szacie a wątpię czy... Lecz za to ileż przyjemności! Widzieć granatowe niebo Iberji... niebieskie pończochy andaluzjanek..... wdzierać się na grzbiety apeninów, kąpać swe ciało w spokojnych *amazonki* wodach... lub wreszcie... jeść mleko kokosowe skoro gromada małp rozdraźnionych, narzuca mi pod nogi tego rzadkiego owocu!

Walery ujrzał się przed bramą swego mieszkania.

Zdziwił się postrzegłszy, że przed domem stoi powóz.

— Któż u licha przyjeżdża tak późno, pomyślał.

Zaledwie Walery zbliżył się do bramy — z powozu wysiadł szybko mężczyzna owinięty płaszczem.

— Chwilka jedna, panie!

Walery poznał głos Alfonsa.

Aha — pomyślał, chce mnie grzecznie uprosić abym pozwolił sobie jutro w łeb strzelić — Ha, co czynić! Czego pan żąda?

— Przedewszystkiém odejdźmy stąd kilka kroków.

— Czy nie zamierzasz pan czasem przeszyć moich piersi malajskim puginałem, według zwyczaju Ost-Indyjskiego, rzekł drwiąco Walery, jeśli tak, to ostrzegam pana że w naszéj prozaicznéj Warszawie uczynić tego nie można bez osobistego niebespieczeństwa.

— Proszę pana zaprzestać żartów, które obrażają nas obu.

— Więc cóż pan każe?

— Przychodzę prosić pana abyś raczył jutro strzelać się ze mną.

— Nic więcej? Jestem na pańskie rozkazy.

— Dziękuję — lecz ponieważ jestem cudzoziemcem i nieznajomym w tym kraju przeto należałoby poprzednio umówić się *samym* o warunki spotkania gdyż... nie mam towarzysza.

— A pan Fühl?

— On! — Nie toleruje pojedynków.

— Tak — że!

— Otóż jeśli łaska — chciéj pan pofatygować się do mnie... lub w jakie miejsce neutralne... gdyż u pana w domu... sądzę że żona nie powinna wiedzieć...

— Tak — masz pan słuszność... u mnie niepodobna... więc jutro o... jednastéj będę u pana.

— Dobranoc panu!

— Dobra noc!

Hrabia Alfons, wskoczył do powozu i konie ruszyły galopem. Walery wszedł na schody wiodące do mieszkania... Zadzwonił.

— Kto tam? zapytał głos nosowy.

— Otwieraj Katarzyno!

Otworzono.

— Cóż tu słychać... pani... śpi?

— Nie — ale rozebrana już — Czekała na pana — a teraz nie śpi — tylko płacze.

— Nie pytam się czy płacze... rozumiesz?

— Ale bo.

— Milcz!

— Czy świécę zapalić?

— Nie trzeba! Obudzisz mnie jutro o siódméj Ruszaj sobie!

— Czy te same buty wychędożyć panu na jutro?

— Głupiaś?

— Ale bo, podeszwa.

— Idź do djabła!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

RĘKOPISM

MEGO KUZYNA WARJATA.

Boże, zlituj się nademną... Czarny!... Fühl! Puść, puść mnie... i... pchła... pchła mnie dusi... Serce! Okropnie... umieram. . . . .

. . . .

„*Koniec rękopisu.*“

. . . . . W kilka dni po odczytaniu rękopisu kuzyna Walerego... dowiedziałem się od lekarza klasztoru że mój biedny kuzyn umarł istotnie na słabość sercową... Przed śmiercią na chwilę odzyskał rozum i... prosił aby wszystko co pozostaje po nim oddano w moje ręce. — Podaję obecny rękopism kuzyna Walerego do druku wnosząc sprawiedliwie, że między utworami wielu innych naszych warjatów i Pamiętnik Mego Kuzyna poczesne znajdzie miejsce.

Rzekoń, dnia 16 Maja 1847 r.